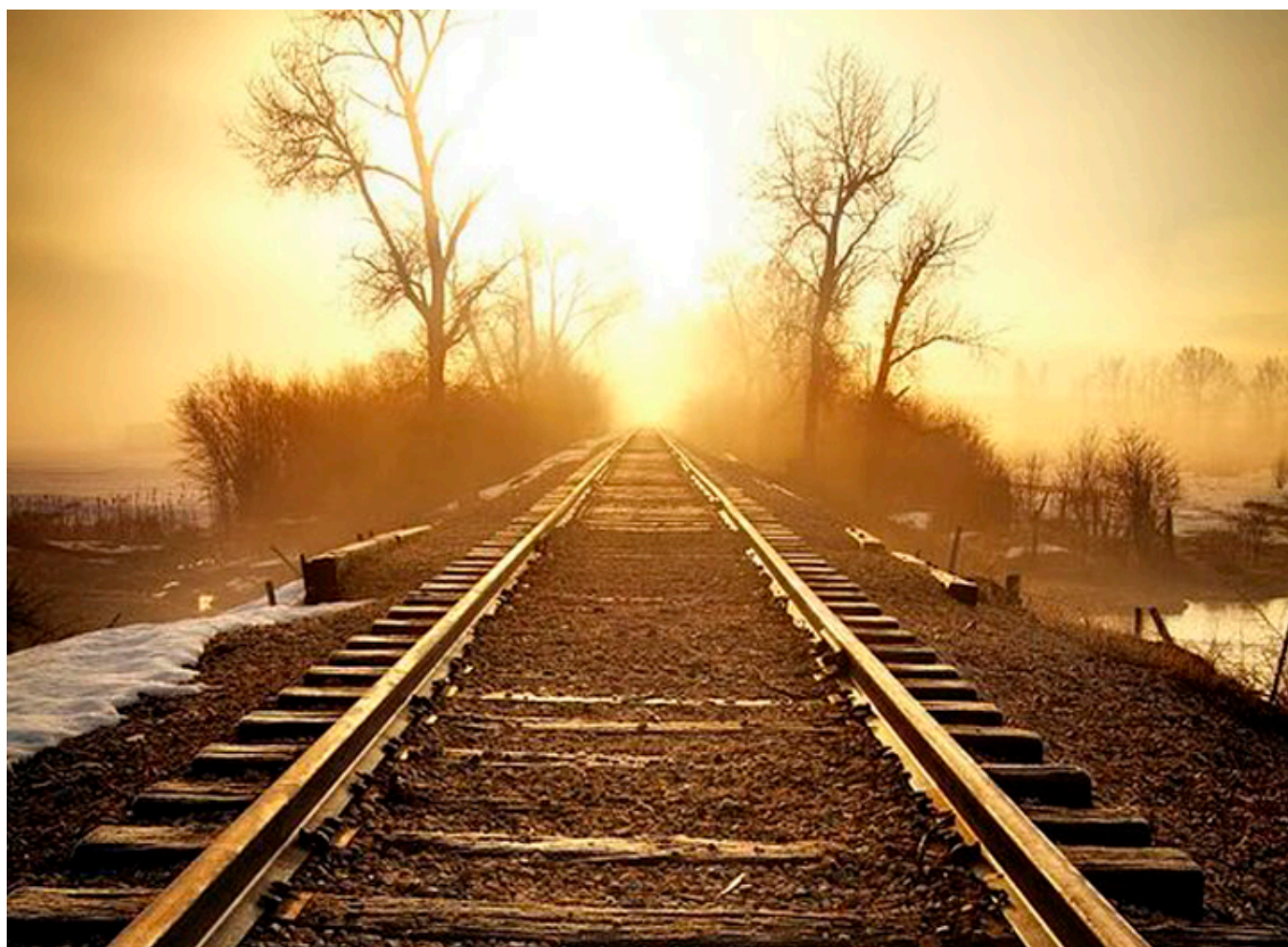


# Wrzesień



Fot. Clint Losee, pinterest.

## **Florian Śmieja**

Kiedy w piątek 1 września 1939 roku o brzasku alarm przeciwlotniczy spędził nas do piwnicy domu przy Placu Karola

Miarki w Katowicach i słychać było wybuchy bomb na lotnisku, jak się później miało okazać, kuzyn z ważną miną instruował krewniaków ze wsi, którzy się u niego schronili, jak należało się zachować w drastycznych sytuacjach. Powszechnie spodziewano się ataku gazowego, a wtedy pouczał, trzeba było posiusiać chusteczkę i przyłożyć do nosa i ust. Zapamiętałem sobie tę procedurę. Dosadność jej nie pozbawiona pewnej dozy komizmu, nie dała o sobie zapomnieć przez całe życie.

Po południu tego samego dnia, kiedy stało się jasne, że wojska niemieckie przekroczyły granice Polski, znalazłem się na dworcu kolejowym, by łapać pociąg jadący na wschód, w pierwszym rzędzie do Krakowa.

Nie wiem, jak to się stało, że pojawił się nagle znajomy ojca z sąsiedniej wsi, architekt Wieczorek, zatrudniony pod Stryjem, który wracał do pracy i czasowo przebywającej tam rodziny w huculskiej wsi Majdan Drohobycki. Zgłosił gotowość zabrania mnie ze sobą. Byłbym daleko od frontu, bezpieczny. Z błogosławieństwem matki, pragnącej ratować najstarsze dziecko, w mundurku gimnazjalnym, z małą walizeczką, nieodłączną lśniącą, niklowaną wiatrówką marki diana, złotym kieszonkowym zegarkiem ojca i banknotem stułotowym w kieszeni pojechałem w nieznane.

Na peronie panował wyjątkowy tłok. Kiedy podstawiono wagony,

tłum runął na nie bez ładu i składu. Każdy zdał się imać tej deski ratunku przeczuwając, że może już nie być następnej okazji. Ten, kto nie miał większych bagaży, poruszał się swobodniej, właściciele wielkich ciężarów mordowali się, by je pomieścić w przedziałach już zatłoczonych do granic pojemności. Pamiętam, jak mężczyzna obarczony pół tuzinem bagaży mozolnie je pakował do przedziału nie zważając na protesty stłoczonych pasażerów, którzy już utyskiwali z powodu braku miejsca i w końcu widząc kolejne walizki wkładane im na głowy, otworzyli drzwi z drugiej strony i wyrzucali bezceremonialnie bagaże na przeciwległy peron.

Po długim postoju pociąg wreszcie ruszył z dworca i wyjechał z miasta a wnet potem i ze Śląska, kierując się przez graniczną Przemszą na wschód do Małopolski. Mijaliśmy pociągi wojskowe z żołnierzami pełnymi animuszu. Na trójnogach sterczały karabiny maszynowe mające chronić przed atakami lotniczymi. Na bezchmurnym niebie ciągnęły eskadry srebrzących się samolotów. "Te srebrne samoloty są czeskie", pocieszali się ludzie, chcąc jakoś dezawuować potęgę nieprzyjaciela.

Z wysokiego nasypu, na którym zatrzymał się pociąg, byliśmy świadkami bombardowania Krakowa i niskich, krótkich lotów polskich myśliwców nie chcących się narazić liczniejszemu i szybszemu nieprzyjacielowi.

Na dworcu krakowskim było ludno, ale ludzie stali jeszcze posłusznie przy kasach po bilety. W jednym z ogonków zauważyłem swojego profesora matematyki z Tarnowskich Gór, Brońca. Załadowaliśmy się do pociągu jadącego do Lwowa. Był przepełniony. Zaraz po wyjeździe oglądaliśmy leżący obok toru zbombardowany pociąg, ciała leżały nietknięte przez nikogo. Samoloty latały niebezpiecznie blisko. Jechaliśmy wolno dalej. Często, kiedy pociąg nasz musiał przystawać, pasażerowie gnali w pole biegnąc jak szaleni jak najdalej od torów w obawie przed atakiem. Przypominam sobie, że jadący z nami umundurowani wojskowi przodowali w tych biegach. Potem wracaliśmy do wagonów i ruszali dalej.

Nadeszła noc, a ponieważ jechało z nami wielu Żydów, zaczęły się w całym pociągu głośne modły szabasowe i śpiewanie. W ciemności, w atmosferze nieznannej religijnej euforii zbliżaliśmy się do Lwowa.

Wyszedłem z Wieczorkiem na miasto. Oglądaliśmy pierwsze trafione przez bomby kamienice, bodaj przy ulicy Krótkiej. Najwidoczniej chybiły celu. Były ofiary wśród ludności cywilnej. Wróciliśmy na dworzec, a mając czas do odejścia pociągu do Stryja, zamówiliśmy obiad. Kiedy jedliśmy z apetytem ciepłą strawę, zawyły syreny, a potem rozległo się terkotanie karabinów maszynowych obrony przy hali dworcowej. W panice razem z innymi, pozostawiwszy wszystko biegnęliśmy do schronu. Kiedy

alarm minął, nikt już nie inkasował pieniędzy. Pod wieczór odjechał lokalny pociąg do Stryja. Wysiedliśmy w szczerą noc na małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam. Opadło nas natychmiast kilku mężczyzn uzbrojonych w długą broń palną. Obawiano się dywersantów i szpiegów. To lokalna straż obywatelska czuwała nad bezpieczeństwem. Czekaliśmy razem z nią do rana na drezinę przedsiębiorstwa (Skarbofermu?), która nas zawiozła do odległej wsi na tereny budowy.

Dzieci i żona Wieczorka ucieszyły się ogromnie z przyjazdu ojca. Byli teraz razem, a do dyspozycji mieli mały samochód marki Steyer, którym odbyłem pierwszą w życiu przejażdżkę prywatnym samochodem po rozległej górskiej wsi.

Zamieszkałem w chacie jednego z zaprzyjaźnionych gospodarzy. Płaciłem drobną kwotę za stancję i kupowałem sobie chleb, masło i mleko rozmieniwszy banknot. Zacząłem oszczędne życie czternastolatka w szerokim świecie. Górską, zalesioną okolicę ludziła sielankowym krajobrazem i spokojem, choć już dochodziły wieści o podpaleniach i mordach, o ukraińskich bandach napadających na gospodarstwa. Na niebie pojawiały się niekiedy niemieckie samoloty zwiadowcze, ale przelatywały dalej. Słuchaliśmy radia. Jego meldunki były tajemnicze i niejasne. Zaczęły szerzyć się plotki, domysły i zmyślenia.

We wsi, w której był tartak i budowano kościół katolicki, pojawiło

się trzech urzędników pocztowych pracujących na Śląsku. Skorzystali oni z przymusowego pobytu, by zamówić u lokalnego szewca oficerki. Za te śliczne buty z cholewami z cieniutkiej skórki zapłacił jeden z nich, dobrze pamiętam, woreczkiem z grosikami w sumie 60 złotych. (Nie wiem, co było na terenach zajętych przez Sowietów, ale Niemcy zdewaluowawszy polskie pieniądze, pozostawili przez pewien okres wartość grosza i bodaj dwugroszówki).

Parotygodniowa sielanka w krainie odciętej od świata nie mogła jednak trwać bez końca. Wieści o podpalaniu przez Ukraińców gospodarstw polskich zaczęły niepokoić, a wreszcie gruchnęła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodniej Polski.

Wieczorek pospiesznie spakował rodzinę, na wolne miejsce w samochodziku wziął swojego czeladnika. Mnie kazał wracać na własną rękę. Niespodziewanie jednak zgodził się zabrać moją niklowaną wiatrówkę i, o dziwo, jakimś cudem dowiózł ją rodzicom!

Dla mnie zaczęła się prawdziwa odyseja. Przyłączyłem się do pocztowców ze Śląska, nasz kierunek wędrówki był ten sam. Nie chcieliśmy za żadną cenę znaleźć się w mocy Sowietów. Miałem przy duszy złoty zegarek i osiemdziesiąt złotych. Wynajętą furmanką wyjechaliśmy w kierunku Borysławia i Drohobycza. Jechaliśmy rankiem na północny zachód czując, że załamuje się

pozorny spokój. W przysiółkach i wsiach, przez które wypadło nam jechać, krążyli ludzie w podejrzanym ożywieniu. Kiedy przystawaliśmy, wyrastali spod ziemi chłopci, którzy bezceremonialnie chwyтали konia za uzdę wołając, że to ich „kiń” i wszczynali awanturę, z której jakimś cudownym zrządzeniem udawało nam się uwalniać i jechać dalej. Pod Borysławiem w lesie na daremno krzyczeli na nas Ukraińcy żądający, byśmy się zatrzymali. Pocztowcy kazali jechać szybciej, a w pewnej chwili, kiedy bojówka ukraińska zaczęła ścigać wóz, w ich ręku pojawiły się pistolety, które Ukraińców powstrzymywały na dystans, choć nadal ciągnęli za nami. Najwidoczniej nie mieli amunicji do strzelb, którymi wymachiwali, więc uciekliśmy im z duszą na ramieniu i z ogromną ulgą zobaczyli, kiedy wyjechaliśmy z lasu, niemiecki posterunek. Nie zapomnę wyrazu zdumienia na twarzy Niemca, który zapytawszy rutynowo, czy posiadamy broń, zobaczył dwa okazałe pistolety, które pocztowcy mieli w pogotowiu na wozie. Po rozmowie, urzędnicy znali niemiecki, oddaliśmy broń, a w komendanturze otrzymaliśmy zaświadczenie na cztery osoby jadące na Śląsk.

Nad Drohobyczem stały nadal jeszcze czarne chmury płonącej rafinerii zbombardowanej na początku wojny. Zaopatrzywszy się w chleb spędziliśmy na kwaterze noc słuchając strzałów patroli, strzegących zakazu poruszania się w nocy.

Kolejną furmanką pojechaliśmy do Sambora i Chyrowa. Stamtąd

zajechaliśmy do Sanoka. Przez Krosno trafiliśmy do Jasła. Zawieziono nas tam jakąś ciężarówką. Niemiecką? Pamiętam tylko, że kiedy zeskoczyłem z wozu na ziemię, podeszły do mnie dwie kobiety i zaprowadziły do swojego domu, gdzie nakarmiwszy mnie, ofiarowały nocleg. Było to przy ulicy Sobieskiego? Następnego rana jechaliśmy do Tarnowa i tam załadowaliśmy się do towarowego pociągu z jeńcami jadącym na zachód do Niemiec. Wtedy bodaj stałem się właścicielem solidnego koca ułańskiego, który ktoś porzucił. Tak dojechaliśmy do Krakowa., gdzie pocztowcy postanowili wysiąść i trzeba się było z nimi pożegnać. Straciłem nie tylko pomocnych bardzo towarzyszy, ale ponadto wspólną przepustkę, którą zabrali z sobą. Jechałem dalej sam, chłopak ledwo czternastoletni, w gimnazjalnym mundurku, z wojskowym kocem, ale bez żadnego dowodu osobistego wśród przygnębionych jeńców wojennych eskortowanych do obozów przez niemieckich konwojentów.

Sunący wolno pociąg zatrzymał się na szczęście na dworcu w Katowicach. Nie poznałem go zupełnie. Wszędzie wisiały niemieckie flagi i szwabachą czerniejące napisy *Kattowitz*. Udało mi się wyskoczyć na peron. Roiło się od niemieckich żołnierzy. Zbliżyłem się ostrożnie do wyjścia z dworca: żołnierz stał przy kolejarzu odbierającym bilety.

Nie miałem żadnego biletu. Zacząłem się kręcić w pobliżu przeszukując na próżno kieszenie. Namacałem proszek na ból

głowy tzw “kogutek”, którego opakowanie kolorem i wielkością nie różniło się tak bardzo od formatu kartonika biletu. Myśląc gorączkowo nad sposobem wydostania się na miasto, zauważyłem, że zbierający bilety robił to machinalnie i byle jak, mało zważając na wkładane mu do ręki bilety. Nie namyślając się długo wszedłem między kilka osób i kiedy przyszła moja kolej, włożyłem proszek między bilety trzymane w dłoni przez nieuważnego kolejarza. Znalazłem się po drugiej stronie bariery i drutów kolczastych okalających perony. Byłem już w hali dworca, a kolejarz oglądając później zebrane bilety pewnie się raczej ucieszył znajdując proszek zamiast tekturki.

W lot zorientowawszy się w sytuacji wybiegłem na miasto. Po kwadransie pukałem do drzwi mieszkania wujostwa. Kończył się wrzesień. Wróciłem z niespodziewanego wojażu cały i zdrowy. Nie rozumiałem dobrze, jak to się wszystko stało i co znaczyło. Tuliłem mocno koc, w kieszeni miałem złoty zegarek i sześćdziesiąt złotych.

.

---

# Ucieczka polskiego oficera z transportu do Starobielska

**Barbara M. J. Kukulska**

Żyli wśród nas cisi bohaterowie II wojny światowej. Zupełnie przypadkowo, w rozmowie z Przemkiem Dąbrowskim zamieszkałym z rodziną w Pretorii, okazało się, że przyjechał z Anglii z rodzicami do Południowej Afryki mając zaledwie sześć lat, w lutym 1948 roku.

Historia to niezwykła i zupełnie nie znana tutejszej Polonii. Jego ojciec będący oficerem, uciekł we wrześniu 1939 roku z transportu kolejowego skierowanego do Starobielska. Pociąg był pod ścisłą kontrolą NKWD, a jednak udało się Zygmunтови Dąbrowskiemu w sposób nieprawdopodobny zmylić pilnujących i wydostać z wagonu, co uratowało mu

życie.

Major dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski (ojciec Przemka) opisał wspomnienia z września 1939, w pracy konkursowej w r. 1980, która w r. 1986 wraz z innymi nagrodzonymi pracami konkursowymi została wydana w formie książki przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie i Fundusz Kazimierza F. Vincenza w Szwajcarii.

Zygmunt Dąbrowski był odkomenderowany z wojska na studia na Politechnice Warszawskiej na wydziale mechanicznym sekcję uzbrojenia które ukończył w roku 1937 z tytułem inżyniera mechanika. Po wybuchu wojny mając stopień porucznika dostał przydział w Wojskowym Instytucie Przeciwigazowym w Warszawie i 4 września 1939 roku zameldował się tam na podstawie planu mobilizacyjnego „z czerwonym paskiem”. Pogłoski głosiły, że front zachodni trzyma się bardzo dobrze. Pomimo tego zwierzchnicy Wojskowego Instytutu zdecydowali się na zabezpieczenie całego sprzętu Instytutu i przewiezienie w nocy z 4 na 5 września na drugą stronę Wisły do Mińska Mazowieckiego. W dniu 5 września por. Dąbrowski otrzymał rozkaz zmiany miejsca postoju i dojechania na własną rękę do Mińska Mazowieckiego.



Zdjęcie ślubne Marii i Zygmunta Dąbrowskich. Pobrali się w Warszawie, 28 czerwca 1934 r. w kościele św. Krzyża.

Był od pięciu lat żonaty z Marysieńką, która pakując do jego walizki kilka bochenków chleba i puszki konserw, naraz nieoczekiwanie zawołała:

- Ja jadę z tobą! Wyjęła z walizki jeden bochenek chleba i włożyła na jego miejsce parę swoich rzeczy. Zamknęła walizkę i była gotowa. Ubrana była w ciemnozielony kostium sukienny wyglądający jak mundur.

Opisuje dalej:

Miałem jechać na własną rękę koleją i nie widziałem, abym przekraczał jakikolwiek punkt regulaminu służby biorąc Sieńkę (dop. aut.: *skrót od MarySieńki*) ze sobą. Zabrałem walizkę i polowy płaszcz wojskowy, a Sieńka w rękę wzięła swoją jesionkę brzoskwiniową. Poszliśmy do tramwaju. Pamiętam, że się obejrzałem na dom, w którym przeżyliśmy nasze pierwsze pięć lat małżeństwa tak szczęśliwie. Zobaczyłem jak właścicielka domu wychyliła się z okna i przeżegnała nas odchodzących krzyżem. Dom ten, jak się dowiedzieliśmy później, został w kilkanaście dni później trafiony pociskiem artyleryjskim przez Niemców oblegających Warszawę. Był on na ulicy Ursynowskiej 24.

Niedaleko Dworca Głównego znajdowało się biuro Orbisu, gdzie por. Dąbrowski wstąpił po mapę Europy, aby być zorientowanym i „móc obserwować jak i gdzie Alianci nasi zaatakują Niemcy”. Odległość pomiędzy Warszawą a Mińskiem Mazowieckim to zaledwie 50 km.

Pociąg stawał wiele razy i biegaliśmy w pole do rowów, lub pod drzewka, gdy samoloty leciały. Ani jedna bomba na nas

jednak nie spadła, ale jazda była tak zwolniona, że wreszcie zapadła czarna noc, a my ciągle jechaliśmy i stawaliśmy.

Po ośmiu godzinach dojechali do Mińska Mazowieckiego. Tam okazało się, że Instytut ma rozkaz dalszej ewakuacji na Brześć. Skierowano ich do towarowego pociągu, gdzie było wielu „oficerów z Instytutu, którzy też z żonami przenosili się z Warszawy do Mińska Mazowieckiego”.

Dotarli do Siedlec, a stamtąd po kilku dniach jazdy dojechali do Lwowa w dniu 10 września. Wojskowy Instytut Przeciwigazowy miał pracować na Uniwersytecie Lwowskim w pracowniach Wydziału Chemicznego. Już 12 września zarządzono alarm na Uniwersytecie. Rozdzielono kadre Instytutu na trzy części i kolejno opuszczano w pośpiechu miasto Lwów. Część kadry wraz ze sprzętem Instytutu wysłano na samochodach ciężarowych. Następne grupy wymaszerowały ze Lwowa 13 września

piękną drogą, z obu stron wysadzaną drzewami, kierując się na Złoczów. Był piękny słoneczny dzień. (Żona) Sieńka zwawo maszeruje w jednej czwórce ze mną, por. Sajdakiem i ppor. Szpyrkowiczem. Jedyne bagaż, jaki mieliśmy, to była moja torba oficerska, zawierająca najniezbędniejsze rzeczy.

Walizki i wszystkie rzeczy stanowiące ekwipunek zmagazynowali przed wymarszem w podziemiach Uniwersytetu Lwowskiego. Nigdy już tam nie wrócili. Maszerowali i byli podwożeni podwodami.

Nad ranem 15 września w piątek dotarliśmy do grupy chatek, należących do jakiejś osady, czy wsi, w pobliżu Brodów i poszliśmy spać w stodole na sianie. Nagle obudziła nas kanonada strzałów armatnich od wschodu. Zerwaliśmy się, bo gdzież nam było do spania! Czyżby Sowiety uderzyły nas zdradziecko? Jeśli tak, to przecież byłaby niewiarygodna katastrofa dla nas i już mowy by nie było do kontynuacji zorganizowanego oporu naszej armii.

Okazało się, że „lotnik niemiecki bombardując stację kolejową trafił w pociąg z amunicją artyleryjską, która wybuchła samoczynnie, choć samolot nieprzyjacielski dawno odleciał.” Z Brodów odesłano oddział na północ do Dubna, gdyż dowódca garnizonu Dubna zgodził się na przyjęcie Instytutu do tworzonej przez niego Legii Oficerskiej.

Dołączenie miało nastąpić w niedzielę 17 września 1939 roku.

Ale gdy ten dzień nadszedł, jednocześnie z nim nadeszła

wstrząsająca wiadomość, otrzymania której tak się obawialiśmy dwa dni temu: Armia Czerwona wkroczyła do Polski. W Dubnie ich jeszcze nie było.

## Dowódca oddziału

zarządził odprawę dla wszystkich oficerów Instytutu. Zawiadomił nas, że wkroczenie Sowietów do Polski jest pogwałceniem i zerwaniem wszelkich umów z Polską, ale że nie ma rozkazu stawiania im oporu zbrojnego.

Zastanawiano się co w tej sytuacji zrobić, kiedy oddział znajdował się daleko na północ. Najwłaściwsze wydawało się iść na Rumunię i dalej na zachód do nowej Armii Polskiej. Jednak ten plan był nie do zrealizowania, gdyż trzeba przejść przez wrogie Polakom tereny wsi ukraińskich dzielących oddział od Rumunii.

Po naradzie oficerskiej dowódca major Brzozowski zdecydował, że oddział rusza w kierunku Warszawy. Do przebycia były Demidówka, Beresteczko i dalej bocznymi drogami na zachód. Dowódca przekazał, że

oficjalne cele wkraczających bolszewików nie są znane, ale

na pewno oni nie idą, aby się bić z Niemcami i na pewno nie jest ich celem wsparcie i utrzymanie Armii Polskiej. Im dłużej unikniemy zetknięcia z nimi, tym lepiej będzie dla naszego oddziału.

Oddział dotarł aż do rzeki Bug i nie spotkał na swej drodze czerwonoarmistów. Natomiast dowódca z Dubna wraz z utworzoną przez niego Legią Oficerską skierowali się

na południe, gdzie już pierwszej nocy zostali ostrzelani przez sowieckie karabiny maszynowe i wkrótce wszyscy znaleźli się w łapach bolszewickich. Prawda, że los ich potoczył się tym samym torem, co i ewentualnie i naszych oficerów: Szepietówka, Kozielsk lub Starobielsk, a potem różne Katynie!

Oddział wędrując bez przerwy, korzystał z podwodów. Napotykali na drodze inne oddziały polskie, które też obrały kierunek przez historyczne miasteczko Beresteczko. Kolumny wymijały się, zjeżdżały z drogi. Całe wzgórze pokryte było masą taborów, artylerii i różnych oddziałów maszerujących na zachód. Oddział dotarł do polskiej wsi osadników wojskowych Drużkopol. Mężczyźni z tej wsi pracowali jako policjanci w Horochowie i zdecydowali, że będą trwać na swoich posterunkach.

Wszyscy ci Polacy czekają na nieznaną i nieuchronną przyszłość bezradnie, a my zdajemy sobie sprawę z tego, że ona będzie straszna. I niewątpliwie taką była!

Dowódca oddziału „mjr Brzozowski zarządził odprawę: Warszawa walczy dalej! Maszerujemy do niej!” Major Brzozowski kupił dodatkowy wóz od hrabiego Potockiego i dostał też od niego przewodnika do wskazania bocznych dróg, aby uniknąć spotkania z bolszewikami. Ludność ukraińska dekorowała kwiatami bramy wjazdu do miejscowości na powitanie Armii Czerwonej. Natomiast w polskich wioskach goszczono ich chlebem i mieli zapewnione bezpieczne noclegi. Oddział zbliżał się do wiosek ukraińskich. Ukraińcy zrobili zasadzkę na zwarty oddział polskiego wojska i zmusili do oddania broni i amunicji.

Fakt rozbrojenia odczuwaliśmy jako policzek, jako fizyczny ból, jako hańbę dla munduru żołnierza polskiego. Inna sprawa, że zasadzka była dobrze pomyślana i miejsce na nią kapitalnie wybrane. Pewno, że mogliśmy próbować rozpierzchnąć się do domów wzdłuż drogi i bronić się z nich, ale z taką bronią jaką my mieliśmy, to było bezsensowne. Zresztą, co by nam to dało? Nie mieliśmy się gdzie przebijać ani też znikąd oczekiwać pomocy! Szliśmy dalej. Przeszliśmy przez wieś, potem koło tego lasu skąd do nas poprzednio

strzelano.

Oddział kierował się na Poryck do mostu przez Bug, ale chciał uniknąć spotkania na swej drodze bolszewików. Otrzymali meldunek, że bolszewicy już są we Włodzimierzu Wołyńskim. Wcześniej była osada czeska, gdzie dowiedzieli się, że z Porycka nie da się przejść na drugą stronę Bugu. A jednak próbowali dostać się jak najbliżej rzeki. Na drodze zatrzymani zostali przez uzbrojonych Ukraińców, którzy zrewidowali wojskowych szukając broni. Po przeszukaniu, wydali zaświadczenie o rewizji i o nie posiadaniu broni. Po wkroczeniu do Porycka spotkała ich ponowna kontrola i skierowanie na nocleg do czeskiej wsi. Utworzony był tam komitet samorządowo-czerwony, który przydzielił oddziałowi urzędowego przewodnika z przepustką pozwalającą na poruszanie się tylko do 15 km.

Maszerujemy, budząc ciągle zdziwienie spotykanych ludzi, skąd się tu naraz wziął zwarty i zdyscyplinowany oddział wojska polskiego. I znów kontrola naszej przepustki przy jakiejś bramie triumfalnej zbudowanej dla Sowieców z zieleni, z kwiatkami już zwiędłymi.

Nie dano im spokojnie przejść, zostali otoczeni przez Ukraińców wymachującymi karabinami i krzyczącymi na nich. Sytuacja była

coraz groźniejsza, gdyż oddział znajdował się na terenie zajęтым przez Sowiećów.

Jedynym światłem przed nami była ta broniąca się Warszawa, do której chcieliśmy dotrzeć, nawet nie zastanawiając się, jak my do niej się dostaniemy.

Ukraińcy zmusili oddział do marszu drogą prosto do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie zajechał im drogę czerwony samochód z „komandirami” sowieckimi. To byli NKWDziści mówiący do nich po rosyjsku i ponownie kontrolujący, rewidujący. W mieście po których ulicach jeździły polskie samochody osobowe z sowieciarzami w środku, skierowano oddział do dużej bramy.

My ciągle jeszcze mieliśmy złudzenia, że nas sprawdzą i pozwolą iść dalej, za Bug, ...teraz nadzieje nasze zmaląy. Rozejrzeliśmy się. Przed nami widać wysoki długi mur.

Okazało się, że to było więzienie. Oficerowie sowieccy w czapkach z okrągłymi daszkami z granatowym otokiem NKWD, wyptali polskich oficerów o ich dane. To, że są pracownikami naukowymi Wojskowego Instytutu, nie przekonało ich i po kolei

zostali zapisani w książkach ewidencyjnych. Jedynie żona, Marysieńka Dąbrowska została wypuszczona w nocy i ulokowana u Polaka aptekarza we Włodzimierzu Wołyńskim.

2

*Skreślono z Księgi  
Rysz d'office*

RYSOPIS - SIGNALEMENTS

FOTOGRAFIE - PHOTOGRAPHIES

Rok urodzenia Date de naissance	<i>12. III 1909</i> <i>1896</i>	Żona - Femme <i>1909</i>
Miejsce urodzenia Lieu de naissance	<i>Grodzisk Maz. Warszawa</i>	
Stan Etat civil	<i>żona - mariée</i> <i>małżonka - mariée</i>	
Zatrudnienie Profession	<i>inżynier - ingénieur</i> <i>kupiec - marchand</i>	
Wzrost Taille	<i>wzrostu - moyenne</i> <i>wzrostu - moyenne</i>	
Twarz Visage	<i>owalna - ovale</i> <i>owalna - ovale</i>	
Włosy Cheveux	<i>c. blond - blonds f.</i> <i>c. blond - blonds f.</i>	
Oczy Yeux	<i>niebieskie - bleus</i> <i>szare - gris</i>	
Znaki szczególne Signes particuliers	/	




DZIECI - ENFANTS

Wiek Age	Płeć Sex
<i>Wiek: inżynier i 12. III 1909</i> <i>inżynier et 12. III 1909</i>	

Podpis posiadacza  
Signature du porteur

*Zygmunt Dąbrowski* *Maria Dąbrowska*

*WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI*

Paszport Marii i Zygmunta Dąbrowskich wystawiony w Budapeszcie. Czerwonych skreśleń dokonano w Londynie.



Paszport Marii i Zygmunta Dąbrowskich wystawiony w Budapeszcie.

Polscy oficerowie zostali umieszczeni w kwadratowej dużej celi z małym zakratowanym okienkiem u góry. Do rewizji zabrano wszystkie torby, paczki. W torbie por. Dąbrowskiego znaleziono kilka naboji rewolwerowych luźno leżących, których zapomniał oddać wraz z bronią przy kontroli Ukraińców. Ledwo udało się dowódcy polskiemu obronić go przed natychmiastowym rozstrzelaniem.

Rano strażnik podał Zygmuntowi kartkę przekazaną przez żonę z adresem, gdzie przebywała. Około południa wyprowadzono wszystkich więźniów na dziedziniec. Więźniami byli oficerowie i

podoficerowie wojska polskiego. Zgromadzono ich tam bardzo dużą grupę. Około południa, dnia 23 września 1939 roku, po otwarciu bramy więzienia wyprowadzono wojskowych poza bramy.

Przy każdym szeregu czwórki, z każdej strony szedł krasnoarmiejec z bagnetem na karabinie. Kolumna oficerów i podoficerów maszerowała ustawiona w szyku według starszeństwa; starsi oficerowie na przodzie, potem stopniowo młodszy stopniem, potem podoficerowie i szeregowi. Gdy ładowano wagony na przodzie, niedaleko nas zebrała się grupa kobiet, żon oficerów garnizonu z Włodzimierza Wołyńskiego.

Odszukały swoich mężów i rozmawiały z nimi płacząc. Ja odezwałem się do którejś z pań i poprosiłem, żeby dała parę rzeczy mojej żonie, która nie wie, że mnie wywożą. Dałem jej adres Marychny, paręset złotych, bo przecież była bez grosza oraz jej paszport, który miałem w mojej torbie oficerskiej. Tymczasem ładowanie wagonów postępowało i po chwili zaczęto ładować do wagonów tuż przede mną, a że my byliśmy na końcu kolumny oficerów polskich, więc załadowano nas, jako ostatnich oficerów do przedostatniego wagonu. Ostatni wagon zawierał tylko podoficerów i szeregowych. (...) Skoble suwanych drzwi naszych wagonów

towarowych były zawiązane na zewnątrz drutem, czego dokonywano natychmiast po załadowaniu kolejnego wagonu.



Por. Zygmunt K. Dąbrowski.

Wewnątrz wagonu, w którym było 40 ludzi, oficerowie rozlokowali się na podłodze i na małej mapce, którą ktoś

posiadał, wykreślili przypuszczalną trasę pociągu: Kowel, Równe, Zdołbunów. Zastanawiali się, gdzie zostaną przewiezieni w eskorcie krasnoarmiejców.

I wtedy ktoś zapytał: – Co oni z nami zrobią?, a z przedniego końca wagonu rozległ się stanowczy głos: – Oni nas zabiją! Nikt nie podjął dalszej dyskusji na ten temat!

Na stacji Równe, zaczęto ponownie sprawdzać dokumenty więzionych w wagonach ludzi i zwalniać cywilnych, którzy przypadkowo tam się znaleźli. Ktoś idąc do kontroli wyrzucił płaszcz żołnierski. Został on natychmiast złapany przez przyjaciela i przekazany Zygmuntowi, który swój piękny, dopasowany płaszcz oficerski stracił wcześniej podczas przeprawy z Ukraińcami.

Pociąg jechał wolno i po dwóch dniach 25 września dojechał do stacji Zdołbunów, gdzie zaczęto wypuszczać po 5-6 osób na „potrzeby własne”. Drzwi wagonu zasuwane były przez cały czas, a pilnował porządku krasnoarmiejec z karabinem w ręku. Por. Dąbrowski został wypuszczony w drugiej grupie. Pociąg wiozący polskich oficerów, był jedynym na stacji, gdzie wagony (z wyjątkiem ostatniego) były zamknięte, zadrutowane i pod strażą. W pociągu tym byli m.in. oficerowie którzy wraz ze swymi oddziałami stawiali zbrojny opór bolszewikom. Por. Dąbrowski

niepostrzeżony, robiąc małe kroki, przesunął się ze swojej oficerskiej grupy do grupy podoficerów i szeregowców przy ostatnim wagonie, w którym „było lepsze traktowanie”. Żołnierski płaszcz, który miał na sobie przykrywał ubiór oficera.

## Krasnoarmiejcy

po pewnym czasie zdecydowali, że nasza grupa ma już wsiadać do wagonu... Ja na to zrobiłem dalszy krok w bok, który mnie całkiem dołączył do „nie oficerów”, od których nie odróżniałem się strojem zewnętrznym, poza eleganckimi butami oficerskimi.

Atmosfera w tym wagonie nie była tak napięta jak w wagonie oficerskim.

Na środku wagonu stała skrzynka otwarta z jabłkami, sprzedano mi kilka za 5 zł. Dostałem też chleba za 2 zł. Potem ktoś, kto miał sporo liści tytoniowych, zrobił transakcję ze mną i znalazłem się w posiadaniu sporej paczki. Dałem potem połowę ich przez okno [por.] Sajdakowi i [ppor.] Szpyrkowiczowi (dop. aut.: *przyjaciołom z wagonu oficerskiego*). W pewnej chwili, nie wiadomo skąd i od kogo, wieść się rozeszła, że możemy wychodzić z wagonu, że

jesteśmy wolni na stacji Zdołbunowa. Drzwi wszystkich innych wagonów naszego pociągu były dalej zawiązane drutem i straż z ręcznymi karabinami maszynowymi dalej przy nich stała. Przysunąłem się pod okienko mego dawnego wagonu. Dałem te moje tytoniowe liście Sajdakowi i powiedziałem, aby wzięli sobie moją torbę oficerską. Od tych wagonów pilnowanych odsunąłem się jednak, uważając bliskość ich za teren ryzykowny. Gdy odchodziłem z ciężkim sercem, z okien mego wagonu patrzyły za mną głowy milczące. Wagon nieoficerski był już pusty. Odtąd już nikt nie miał szansy ucieczki. Poszedłem na sąsiednie tory bezcelowo, nie wiedząc właściwie, gdzie mam iść i co robić...

Okazało się, że na długim placu miasteczka, bolszewicy zarządzili zbiórkę żołnierzy. Rozsyłano to wielkie nagromadzenie polskich żołnierzy w trzech kierunkach „do domów”. Ustawiony w dwuszeregu wraz z żołnierzami, zwracał uwagę swoimi oficerskimi butami. To wpłynęło na niepokój por. Dąbrowskiego, gdyż obawiał się ponownego uwięzienia i wywózki. Dlatego też, aby temu zapobiec, starał się niepostrzeżenie „wyłuskać” z dwuszeregu i widząc małego chłopca w polskiej harcerskiej czapce, podążył za nim oddalając się od placu. Chłopiec zaprowadził go do swoich rodziców, którzy byli polskimi kolejarzami.

Powiedziałem im, że jestem oficerem, że na zbiórce zarządzanej przez bolszewików moje buty zwracały uwagę i prosiłem, czy nie mają zwykłych butów które mógłbym odkupić od nich w zamian za moje oficerskie.

Przynieśli dziurawe buty, które w tej sytuacji miały wartość życia. Zostawił tam swoje piękne buty, spodnie - bryczesy, kurtkę wojskową z tak zwanej rogózki. Po wyjściu od przyjaznej rodziny kolejarzy, w najbliższych krzakach zniszczył dokumenty świadczące o jego tożsamości: legitymację oficerską, indeks Politechniki Warszawskiej oraz inne papierki, które mogły go zdradzić. Zostawił tylko tymczasowe zaświadczenie ukończenia Politechniki, gdzie nie było jego zdjęcia w mundurze oficerskim. W nadmiarze pilności darcia dokumentów podarł „papierek” banknotu stużłotowego, którego później nie mógł odzłutować. Zegarek z nadgarstka ręki przełożył na pasku w okolicy łokcia. Wmieszał się w grupę ludzi stojącą w kolejce po chleb.

Chleba ciągle jeszcze nie było, więc w myśl zasady, że lepiej głodno, ale bezpiecznie w tłoku, zrezygnowałem z chleba, zostawiłem kolejkę i dołączyłem do żołnierzy, którzy mi powiedzieli, że jadą na Wołkowysk. Przed furtką stał krasnoarmiejec z bronią.

Po podstawieniu pociągu,

wywoływano: - Białorusini wystąp! Między innymi i ja wystąpiłem (dop. aut.: *por. Dąbrowski dość dobrze władał rosyjskim, gdyż w dzieciństwie mieszkał przez kilka lat w Rosji*).

- Siadać do pociągu! Potem: - Ukraińcy wystąp! Siadać!

Wreszcie: -Polacy! A mało ich było, bo już dawno powiadali, jako inne narodowości.

W Kowlu przesiadł się na pociąg idący do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie czekała na niego żona Marysieńka. Podczas przejścia z jednego toru na drugi zatrzymany został

przez krasnoarmiejca: - Czasy imiejetie? Odpowiedziałem „Niet” i odsunąłem rękaw, aby pokazać, że nie mam zegarka.

Doszedłem do pociągu, odszukałem wagon drugiej klasy, wszedłem. Byli tam nasi żołnierze, ale było wolne miejsce, więc usiadłem. I tak siedziałem cały dzień od świtu do zmierzchu. Wyszedłem raz, czy dwa i upewniłem się, czy siedzę w dobrym pociągu. „A kiedy odejdzie?” „Niedługo”.

Wracalem na swoje miejsce, do mego przedziału...Wreszcie noc. Pociąg stoi ciągle, a ja się boję, aby rewizji i sprawdzania dokumentów nie było, jako że, kto tu siedzi na stacji w nocy? No i raz wychodzę na peron - pusto, nikogo nie ma, nie ma kogo zapytać. Może jednak jest jakiś inny pociąg do Włodzimierza Wołyńskiego z innego toru!

Przez tę wielką niecierpliwość, wpadł w poważne tarapaty. Ledwo uszedł znów z życiem, gdy zaczął w nocy chodzić po nieoświetlonych torach. Natrafił na służbistę krasnoarmiejca, który wycelował w niego karabin z wysuniętym bagnetem. Nie słuchając jego wyjaśnień doprowadził go do podoficera, który kazał mu strzelać, gdyby aresztowany próbował ucieczki.

Następnie do oficera sowieckiego, który to

komandir raczej zmęczonym tonem powiedział do żołnierza, aby zabrał mnie do krasnoarmiejca stróżującego przy pociągu i spytał go, czy istotnie ja wyszedłem z pociągu. Żołnierz do mnie z bagnetem znowu i wyprowadził mnie na peron. Idziemy kilka kroków i jak tylko wyszliśmy poza zasięg światła lampy koło drzwi komandira, żołnierz wrzucił karabin pod pachę, powiedział do mnie - Stupaj i ja powędrowałem do swego pociągu, a on zniknął w ciemności... Około 7 rano pociąg ruszył i około 11 byłem we

Włodzimierzu Wołyńskim. Dworzec stał daleko od miasta, do którego prowadziła długa, szeroka i pusta ulica.

Por. Zygmunt Dąbrowski nie znał miasta i bał się zapytać o drogę na ulicę Dubnicką, gdzie u polskiego aptekarza zatrzymała się jego żona. Po jakimś czasie odnalazł ulicę i wszedł do kuchni domu. Wyglądał żałośnie; nieogolony z zarostem pięciodniowym, w obdartych brudnych butach, w spodniach z dziurami, oraz swetrze brązowym widocznym spod żołnierskiego płaszcza bez pasa.

Wszedłem do kuchni i prawie na wprost zobaczyłem Sieńkę, która postawiła coś co miała w ręku i podbiegła do mnie, a różne panie (uciekiniarki, czy żony wywiezionych oficerów) zawołały widząc nasze powitanie – Co, wypuścili?. Przeraziły się i cofnęły, gdy odpowiedziałem – Nie, ja uciekłem. – A co z innymi? – Wywieźli ich do Rosji!

Na tę moją informację słów wszystkim zabrakło i Sieńka zabrała mnie z kuchni do pokoiku, w którym mieszkała. Opowiedziałem jej, co i jak było i ona poszła podzielić się tym z gospodarzami. Kiedy przyszła, przekazała mi, że się boją, żeby mnie nie zauważono i że musimy odejść jak najszybciej. Zgodziłem się chętnie, bo i mnie zależało na tym, aby zlikwidować się szybko z tego terenu. Zdecydowaliśmy się

ruszyć w drogę o świcie następnego dnia... Pod wojłokową okładzinę manierki zaszyłem swoje papierki jakie jeszcze zachowałem oraz okrajaną na owalny kształt boku manierki legitymację kolejową, którą Sieńka miała razem z paszportem (wydaną przez władze wojskowe, jako żonie oficera). Robiąc to wsadziłem paszport żony pod papier okrywający blat biurka, tymczasowo, ale niestety zapomniałem o tym i paszport został tam na zawsze.

O świcie osobno opuścili dom aptekarzy, umawiając się na drodze pomiędzy miastem a stacją kolejową, gdyż nie chcieli, aby ktoś ich widział razem. Był duży ruch i w tym zamieszaniu minęli się, a to mogło pociągnąć zgubne konsekwencje, gdyż Marysieńka Dąbrowska czekała na dworcu i tam zaczepił ją komandir sowiecki.

Po wyrażeniu wspólnej radości, że któregoś z nas nie przyłapali, poszliśmy w kierunku na Uściług i most na Bugu. Doszliśmy do mostu i przeszliśmy spokojnie. Idąc dalej na Hrubieszów spotkaliśmy kolumnę jeńców polskich, całe oddziały: żołnierze z podoficerami i oficerami. To były te oddziały, które będąc osaczone przez bolszewików z jednej strony, a nie mając już amunicji do walki z Niemcami, którzy naciskali ich z drugiej strony, poddali się bolszewikom. Zupełnie tak jak we Lwowie, gdzie bolszewików - bardzo

mylnie niestety - nienawidzono mniej, niż Niemców! Potem wszyscy ci oficerowie byli zamordowani przez NKWD.

Kolumny ich maszerowały w milczeniu na wschód, po lewej stronie od nas otoczone krasnoarmiejcami z bronią. Sieńka i ja szliśmy z duszą na ramieniu ścieżką po prawej stronie drogi i szczęśliwie nie zaczepiono nas, chociaż ja miałem na sobie żołnierski płaszcz niechlujnie rozpięty.

Przeżycia związane z ucieczką z transportu kolejowego, tak bardzo postarzały por. Zygmunta, że napotykanii ludzie, którzy podwozili ich wozem, uważali, że jest ojcem Marysieńki.

Nawet po kilku dniach koło Lublina ciągle musieli uważać, aby ich nie zatrzymano. Władze sowieckie, które rozesłały w Zdołbunowie żołnierzy polskich do domów, po kilku dniach w okolicy Lublina ponownie „zagarniały” polskich żołnierzy.

To już oznaczało nową zmienioną fazę działalności sowieckiej i bardziej aktywne działania NKWD. Idąc, kiedy się już ściemniało, widzieliśmy gdzieś na prawo od kierunku Chełm-Lublin, daleko na przodzie błyski na horyzoncie które miały kształt łun ukazujących się na ułamek sekundy. Ponieważ słychać było rodzaj głuchych grzmotów z tego kierunku, wywnioskowaliśmy, że to muszą być odgłosy bitwy, która

tam się toczy daleko.

W miejscowości Łęczna obserwowali spotkanie konwoju samochodów niemieckich z flagą hitlerowską na przodzie, wraz z grupą samochodów pełnym komandirów sowieckich.

Widać było, że Niemcy uznają bolszewików za współników w napadzie na Polskę i wdzięczni są im za zwycięstwo. Bolszewicy robili wrażenie bardziej zdezorientowanych, jeśli pamiętamy o ich napisach kredą na wagonach: „Na Berlin!” Chociaż władza sowiecka łatwo zmieniała front w stosunku do nazizmu, który dał im połowę znienawidzonej Polski, to do wojska sowieckiego propagandy „przyjaznościowej” nie zastosowano i niektórym oddziałom mogło się wydawać, że oni weszli do Polski, idąc dalej przeciw Niemcom.

Por. Dąbrowski był przekonany, że uratował się z „łap bolszewickich” dzięki modlitwie.

Dziękowaliśmy Matce Boskiej za wysłuchanie naszych modlitw. Głęboko wierzymy, że opiece Matki Bożej, której się gorąco polecaliśmy, zawdzięczamy, że mieliśmy dar szybkiej orientacji w celu wykorzystania okazji i to zarówno teraz,

pod tą nawałnicą sowiecką, jak i później pod okupacją niemiecką.

Dopiero po latach dowiedział się, jak tragicznie zakończyli swoje życie jego koledzy i przyjaciele, oficerowie Wojska Polskiego, z którymi pracował w wojsku w czasie pokoju, i z tymi z którymi odbył wędrowkę wrześniową.



***Przemek Dąbrowski urodził się w Anglii, a jego młodsza dwójka rodzeństwa Hanusia i Michał w Południowej Afryce.***

***Dziękuję Przemkowi i Liliannie Dąbrowskim, za udostępnienie unikalnej książki podającej tę nieznaną historię aresztowania polskich oficerów.***

**Od autora: Cytaty pochodzą ze wspomnień Zygmunta K. Dąbrowskiego.**

**Źródło: Mjr dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 - Unik przed którymś z Katyniów.”**

*Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” wydawanych w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.*

---

# Smugi rzeczy



## **Ryszard Sawicki**

Smugi rzeczy: drzewa i przydrożne krzewy szybko przebiegają przez pole widzenia. Są i już ich nie ma. Przemieniają kształty, osobne w rozmyte, podobne we wspólne. Wzrok chwytą sylwetki przedmiotów i niemal w tej samej chwili porzuca. Oczy nie przekazują pamięci niczego dokładnie, pamięć pozostaje pusta. Nie ważne czy tamten pień drzewa pochylony był w prawo czy w lewo, czy gałęzie strzelały mocno w górę, czy opadały ku ziemi,

jakby pozbawione żywotnych sił, a tylko ich końcówki sięgały wyżej.

Pociąg jechał od zachodniej granicy ku wschodniej. Zachodnia granica przestała być granicą, została unicestwiona. Wschodnia granica wciąż trwała, ale nie miała trwać już długo. Podróżni pociągu wiedzieli jednak tylko o tym co było za nimi, nie o tym co czekało ich tam, dokąd zdążali. Uciekali od wydarzeń pogranicza, ale nie zdawali sobie sprawy, że ucieczka nie może być w pełni udana. Pęd pociągu i pęd wydarzeń nakładały się na siebie. Widzieli za oknami pędzącego pociągu rozmyte pnie drzew, ale nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, że wiele innych rzeczy oglądać będą przez kilka następnych lat podobnie rozmytymi, jakby to były bezkształtne smugi lub cienie rzeczy.

Leszek siedział na stopniach towarowego wagonu, który zajmowali podróżni ze swym dobytkiem. Wagony pasażerskie były przepełnione, było w nich duszno, a w wagonie towarowym, choć pozbawionym ławek, nie brakowało świeżego powietrza. Dni były pogodne i ciepłe, ale noce chłodne, zaczynała się jesień. W nocy drewniane drzwi wagonu zasuwano, wtedy Leszek się krył wśród przedmiotów ustawionych wzdłuż ścian, próbował zasnąć. Celem jego podróży było rodzinne miasto na południowym wschodzie kraju, pociąg jechał jednak na północny wschód. Po drodze miał się przesiąść do innego pociągu, ale nie wiedział, na której stacji uda mu się to zrobić. Nie wiedział, kiedy

dojedzie do celu.

Zapatrzony w przestrzeń ku południowi nie starał się dostrzegać dalekich zagajników ani wiejskich zabudowań. Nie starał się zatrzymywać wzroku na tym, co jawiło się niemal trwale pod pogodnym niebem. Podobnie, jak nie starał się doganiać wzrokiem umykających pni drzew, które pociąg mijał w pędzie, tak i tamtym, niemal nieruchomym, oddalonym drzewom, nie pozwalał przyciągać swego wzroku. Pozwalał, aby oczy napełniały się migotaniem światła i cieni i aby pamięć rejestrowała tylko to migotanie. Tak było lepiej, myślał. Lepiej patrzeć na świat nie dotykając niczego szczególnego w tym świecie. Nie dotykając nawet wzrokiem. Dopiero, gdy następowało gwałtowne zatrzymanie pociągu, a ludzie wyskakiwali przez otwarte lub otwierane z trzaskiem drzwi i biegli w pole, dopiero wtedy, biegnąc razem z nimi, starał się szybko znaleźć bruzdę dla siebie i upadłszy w nią, skryć twarz w wilgotnej ziemi. Wyskakiwał zwykle przed innymi, gdy pociąg był jeszcze w ruchu. Przeskakiwał rów i umykał jak najdalej od pociągu, który stawał się celem lotniczych bomb i serii z karabinów maszynowych nadlatujących maszyn.

Od chwili odjazdu z ostrzeliwanego dworca kolejowego w Poznaniu nie widział nic tak wyraźnie, jak owe miejsca odległe o kilkadziesiąt metrów od toru, ku którym biegł co tchu; miejsca niczym szczególnym nie wyróżnione, a jednak bez wahania

wybierane jako miejsca bezpieczne. Leżąc w bruzdzie mocno przyciskał twarz do ziemi, tym mocniej im głośniejszy był gwizd nadlatującej bomby, a potem wybuch. Nie podnosił się od razu, kiedy cichły. Trwał jeszcze chwilę bez ruchu, czekał aż minie lęk. Nie nazywał tego uczucia, ale wiedział czym jest. Nazwane mogło stać się wyraźniejsze, bardziej dotkliwe. Mijało, uchodziło szybko, niemal tak samo szybko, jak człowiek biegnący przez pole w poszukiwaniu schronienia.

Miał piętnaście lat, gdy wojna zaskoczyła go podczas pobytu w obcym mieście. Pojechał do Poznania z rodzinnego Lwowa na zaproszenie starszego brata, Tadeusza. Cieszył się na spotkanie z bratem, zwłaszcza, że nie widzieli się przez ostatnie kilka miesięcy, bo Tadeusz, jako wojskowy pilot-obszernik, nie mógł opuszczać jednostki poznańskiej z uwagi na zagrożenie wojenne. Spotkał się z Tadeuszem, ale nie mogli spędzać ze sobą wiele czasu. Tadeusz był zbyt zajęty sprawami służbowymi na lotnisku w Ławicy. Leszek dostał od brata klucze do mieszkania w centrum miasta przy ulicy Reja numer 1/5 oraz pięćdziesiąt złotych (co wydawało mu się sporą fortuną), a także bilet upoważniający do korzystania z przystani klubu oficerów lotnictwa na pobliskim jeziorze Kierskim.

Nim znalazł się w Poznaniu pod koniec wakacji, Leszek był na półtoramiesięcznym wędrownym obozie harcerskim. Wędrował po Podolu na piechotę, wrócił piętnastego sierpnia opalony,

pełen radości i energii. W książce harcerskiej miał wpisane osiemnaście sprawności. Podczas pieszych wędrówek nie pamiętał o nastrojach wojennych panujących w kraju. Dopiero po powrocie do domu zaczął przeglądać nagromadzone gazety. W wydaniu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z dwudziestego piątego sierpnia przeczytał komunikat o pakcie przyjaźni zawartym między sowiecką Rosją i hitlerowskimi Niemcami. Obok artykułu opublikowano zdjęcia Stalina, Mołotowa i Ribbentropa, sygnatariuszy paktu. We Lwowie nie komentowano szeroko tego komunikatu. Groźniejsze wydawały się doniesienia o akcjach dywersyjnych organizowanych na zachodnim pograniczu przez niemieckie bojówki. W tym samym numerze IKC znalazł artykuł, w którym lewicujący młody poeta tłumaczył się ze swego wiersza nawołującego do tego, by lud „rzucił karabiny”, nie przygotowywał się do walki. Wiersz teraz drażnił społeczeństwo przygotowujące się do obrony kraju, więc poeta uważał za stosowne wyjaśnić swoje motywy, które nim kierowały, gdy długo przed trzydziestym dziewiątym rokiem napisał i opublikował tamten wiersz.

Oprócz lektury gazet, Leszek słuchał z rodzicami i starszą siostrą komunikatów radiowych. Rodzice kupili niedawno za poradą Tadzika aparat radiowy „Telefunken”, który odbierał nie tylko polskie, ale i zagraniczne stacje radiowe. Rozgłośnie w Gliwicach i Wrocławiu nadawały po polsku, ale z obcym akcentem, audycje przepełnione agresywną niemiecką propagandą. Szczególnie

znienawidzony był spiker znany pod swoim zdrobniałym imieniem: Teofilek. Odczytywał fałszywe wiadomości o rzekomych dezercjach z polskiej armii, przeprowadzał nawet wywiady z ludźmi podającymi się za dezertersów. We Lwowie żartowano, że należy drania Teofilka powiesić na radiowej antenie.

Nie ze wszystkiego można jednak było żartować. Leszek już w 1936 roku, jako uczeń szkoły powszechnej, przeszedł kurs organizowany przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Pamiętał dobrze instrukcje zakładania maski przeciwgazowej. Pani Pasternakówna, instruktor, wystrzeliła podczas kursu pocisk z gazem łzawiącym, a harcerze siedzący w ławkach izby harcerskiej nakładali szybko maski i wkręcili pochłaniacze. Mógł się pochwalić opaską na ramię w kolorach żółtym i zielonym, którą należało nosić, jeśli zaistniałaby potrzeba organizowania dyżurów. Dostał też funkcję gońca w drużynie. Minęło sporo lat od pierwszej wojny światowej, ale w Europie dobrze pamiętano takie nazwy gazów, jak iperyt i fosgen.

W domu przy ulicy Łyczakowskiej postanowiono zakleić okna paskami papieru, by uchronić szyby przed podmuchem powietrza podczas wybuchu bomb. Rodzice polecieli dzieciom, by cięli papier na paski i naklejali je, skrzyżowane, na szyby. Leszek pamiętał o tych paskach na oknach w domu rodziców, gdy leżał

w polu przyciskając twarz do ziemi i słuchając wybuchów bomb. Obraz okien oklejonych papierem krzyżował się z obrazami ulic Poznania, widokami jeziora, po którym pływał kajakiem.

Kiedy zaklejał okna w lwowskim domu rodzinnym, czynność ta wydawała mu się absurdalna, niepotrzebna, a ponadto nudna. List Tadzika zawierał zaproszenie do Poznania, a więc i obietnicę dalszych wakacyjnych przygód. Ucieszył się, że wakacje poza domem nieco się przedłużą, miał okazję zapomnieć o ponurym nastroju. Tadzik był starszy od Leszka o dwanaście lat. Przed wybuchem wojny służył w trzecim pułku lotniczym w Poznaniu. Był porucznikiem-observatorem. Na wiosnę przekonywał jeszcze rodzinę, że do wojny nie dojdzie, powtarzał znane z prasy argumenty, że Niemcy boją się międzynarodowej opinii publicznej, nie będą ryzykować wojny w sytuacji, gdy Polska podpisała sojusze z Anglią i Francją i w razie zagrożenia może liczyć na pomoc sojuszników. W lecie już tak nie pisał. Poprosił Leszka, by przyjechał do Poznania i zabrał jego rzeczy, zawiózł je do Lwowa. Przesłał Leszkowi czterdzieści złotych na tę eskapadę, co młodszemu bratu wydawało się ogromną sumą, gwarantującą dobrą zabawę.

Dwudziestego siódmego sierpnia, ubrany w gimnazjalny mundur z naszytą na rękawie obowiązkową tarczą szkolną na ramieniu, Leszek wyszedł z domu z małą tekturową walizką. Na dłoniach miał piękne rękawiczki *pekari*, które dostał na imieniny, i z

których był bardzo dumny. Wsiadł do pociągu w stolicy Podola i po długiej, ośmiuset kilometrowej podróży wysiadł na dworcu w stolicy Wielkopolski. Przejeżdżając przez mosty pociąg zwalniał, wtedy widział żołnierzy, a także strzelców z *maciejówkami* na głowach, którzy zajmowali posterunki na przyczółkach mostów. W Tarnowie nie dostrzegł dworca zrujnowanego przez bombę, którą podłożył dywersant. Przez Górny Śląsk jechał nocą. Za szybą wagonu widział światła huty żelaza położonej blisko torów. Niedaleko była też granica z Rzeszą, ale po wschodniej stronie istniejącej wciąż granicy nic szczególnego się nie działo. Rano przybył do Poznania.

Po wyjściu z dworca skierował się na zachód, w stronę ulicy Reja. Bez trudu odnalazł dom oznaczony numerem 33a, gdzie Tadzik z kolegą Józefem Tomaszewskim wynajmowali mieszkanie. Ulica wydała mu się nieco ponura, nie tak jasna jak ulica Łyczakowska we Lwowie, przy której stała willa wynajmowana przez rodziców. Okna w mieszkaniu należącym do pani Wicherskiej nie wychodziły na ogród, tak jak okna willi. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że mieszkańcy Poznania także oklejali okna paskami papieru. Ale nie poddał się bynajmniej ponuremu nastrojowi ulicy i mieszkania z zaklejonymi oknami. Nie po to przecież przejechał przez pół kraju, by znów myśleć o czymkolwiek ponurym. Na stole w pokoju brata znalazł kartkę z instrukcjami. Rozgościł się, umył i zjadł posiłek podany przez gospodynię. Tadzik nie mógł go przywitać, bo od kilku dni

przemieszkiwał przy swojej jednostce na lotnisku, nie wracał do miasta. Dopiero po południu przyjechał z przyjacielem Tomkiem, kiedy udało im się dostać przepustkę w Ławicy, ale po serdecznym przywitaniu i potwierdzeniu instrukcji zapisanych na kartce, musieli się rozstać.

Przez następne cztery dni, ostatnie dni sierpnia 1939 roku, Leszek chodził po Poznaniu, wyjeżdżał za miasto. Obserwował coraz więcej oznak zagrożenia wojną. Ludzie dokonywali większych niż zwykle zakupów. Pod sklepami stały długie kolejki, wykupywano mąkę, cukier, słoninę. Krążyły wieści o tym, że pieniądze papierowe mogą stracić wartość. Gromadzono bilon, zwłaszcza srebrne monety. Podobno jakiś niemiecki sprzedawca ukrył zapasy żywności, więc tłum przeprowadził szturm na jego sklep. Przechodząc koło tego sklepu widział osmolone drzwi i zdemolowane wnętrze. Nastroje antyniemieckie objawiały się rozmaicie. Gazeciarze sprzedawali papierowe składanki z karykaturami Hitlera. Przejeżdżający ciężarówkami robotnicy wytwórni baterii Centra śpiewali satyryczne piosenki, w których niewybrednymi słowami urągali Hitlerowi.

Mimo rosnącego z dnia na dzień zagrożenia, Leszek nie tracił ducha. Nastrój poprawiło mu zwłaszcza kolejne spotkanie z bratem i jego przyjacielem. Obydwaj lotnicy przyjechali z lotniska ubrani w mundury, z kordzikami przy boku. Dołączyły do nich dwie znajome panie, wyszli w piątkę do miasta. Lotnicy

prezentowali się bardzo elegancko. Leszek cieszył się, że też ma mundur, choć był to tylko mundur szkolny. Kiedy weszli do kawiarni „Arkadia” przy Placu Wolności, orkiestra przerwała graną właśnie melodię taneczną i zagrała „Pierwszą Brygadę”, a wszyscy goście siedzący przy stolikach wstali z miejsc i przywitali ich oklaskami. To była szczególna chwila. Leszek nie przypuszczał, że widzi się z bratem po raz ostatni.

Przed odjazdem na lotnisko Tadzik dał Leszkowi jeszcze pięćdziesiąt złotych, na wszelki wypadek, jak tłumaczył. Poinformował go co ma robić, gdyby doszło do wybuchu wojny. Prosił, by brat zabrał do domu walizkę, w której zapakowane już były rzeczy osobiste, książki i notatki akademickie. Powiedział przed pożegnaniem: „Siedź w Poznaniu póki można, baw się!”

Następnego dnia Tadzik zadzwonił z lotniska w Ławicy do pani Wicherskiej, rozmawiał z Leszkiem przez telefon. Było to trzydziestego sierpnia. Jeszcze nie nakazywał wyjazdu. Ale 31 telefon milczał. Leszek poszedł jeszcze do ogrodu zoologicznego, pływał kajakiem po jeziorze. Gdy wrócił do miasta, na ścianach domów i płotach wisiały porozklejane plakaty mobilizacyjne. Zastanowił się, czy ma wyjeżdżać, lecz decyzję odłożył do piątku, bo i tak mógł zdążyć na zajęcia szkolne, które ministerstwo poleciło rozpocząć 4 września. Była wciąż piękna pogoda.

Pierwszego września pani Wicherska zbudziła go wcześniej rano

wołaniem: „Poznań już zbombardowali”. Była bardzo wzburzona. „Czy będą gazy?”, pytała raczej siebie niż gościa. Leszek zapisał w swoich wspomnieniach, że nie słyszał wybuchów, pewnie przespał też wycie syren alarmowych. Szybko zorientował się co robią mieszkańcy budynku. Wszyscy przygotowywali ochronne tampony do założenia na usta i nos w razie ataku gazowego. On też miał taki tampon, przywiózł go ze Lwowa. Teraz wyjął ze swojej małej walizki, by mieć pod ręką. W salonie gospodyni prowadziła nerwową rozmowę z rodziną. Zastanawiali się, czy zostać w mieście, czy jechać do majątku na wsi. W kamienicy funkcjonowały dyżury obywatelskie, mieszkańcy zmieniali się kolejno przy oknach w dachu. Wypatrywali samolotów Luftwaffe. Słuchano radia, przeglądano gorączkowo gazety. Stos gazet leżał na stole u pani Wicherskiej.

Leszek nie zaglądnął do gazet, nie słuchał dłużej rozmowy gospodyni. Wybiegł na miasto. Ludzie podawali sobie z ust do ust wiadomości o tym, co, kiedy i gdzie zostało zbombardowane. Krążyły plotki o zrzuconiu bomb gazowych. Na ulicach, którymi szybko przechodził, widział tylko potłuczone szyby, niewielkie uszkodzenia budynków i połamane gałęzie. Bomba upadła na ogród zoologiczny, ale zniszczyła tylko ogrodzenie i drzewa. Po tej wędrówce wrócił na ulicę Reja. Pani Wicherska nie zrobiła zapasów chleba, poczęstowała Leszka twardymi herbatnikami.

Po tym skromnym posiłku postanowił dowiedzieć się jakie

pociągi wyjeżdżają do Lwowa. Z Reja do dworca nie było daleko. Za chwilę miał być z powrotem, doczekać do odjazdu pociągu, zabrać swoją walizkę i walizę Tadzika. Planował, że wyjedzie z Poznania inną trasą niż ta, którą przyjechał. Przecież tamtędy tory biegną bardzo blisko granicy, to zbyt niebezpieczne. Miał zamiar jechać w kierunku Warszawy, po drodze lub w stolicy przesiąść się na pociąg jadący w stronę Lwowa.

Kiedy szukał informacji na dworcu poznańskim rozległ się alarm lotniczy. Wszyscy zbiegli do schronów, które mieściły się w tunelach między peronami. Zapadło milczenie, wsłuchiwano się w dalsze i bliższe wybuchy. Odgłosom wybuchów wtórowały ciche modlitwy.

Samoloty i tym razem nie zbombardowały dworca. „Może odstraszyli ich polscy myśliwcy”, pomyślał. Syreny oznajmiły koniec nalotu, wyszedł więc do holu dworca. Wciąż nie znał rozkładu jazdy, nie mógł zdobyć informacji wśród panującego rozgardiaszu. I znowu rozległo się wycie syren. Nim odwołano drugi nalot, minęła godzina. Jednak i ten nalot nie był ostatnim, ani najgroźniejszym. Najgroźniejszy był nalot trzeci. To wtedy zaczął się modlić razem z innymi. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że znajduje się w najbardziej zagrożonym obiekcie miasta. Strach minął, ale pozostało otępienie, które miało mu towarzyszyć w całej drodze powrotnej. Kiedy wyszedł na peron zapadał zmrok. Obok budynku dworcowego paliły się magazyny

firmy transportowej Hartwiga. Blask płomieni oświetlał na czerwono jasne mury dworca kolejowego.

Peron, przy którym się znalazł po wyjściu ze schronu nie był uszkodzony, jednak bomba rozbiła wagon towarowy w składzie, który stał na peronie. Pociąg wypełniony był ludźmi ewakuowanymi z pogranicza i ich dobytkiem. Wszystko, co było zgromadzone w wagonie, pościel, pierzyny, odzież, zostało rozrzucone po peronie. Strzępy płótna i pierze wisiały nawet na gałęziach okolicznych drzew. Leszek rozglądał się dookoła, chodził raz w jedną raz w drugą stronę. Nie wiedział dokąd iść. Pod butami chrzęściło szkło, potykał się o kawałki cegieł i tynku.

Wśród zgiełku usłyszał nagle podawany przez megafony komunikat, że z jednego z peronów odjeżdża pociąg ewakuacyjny w kierunku Warszawy. Podjął błyskawiczną decyzję, pobiegł na właściwy peron, wskoczył w otwarte drzwi wagonu towarowego. Po kilkunastu minutach jechał już na północny wschód. Za sobą zostawiał chaos pierwszego dnia wojny. W pokoju przy Reja została też jego walizka i walizka Tadzika. Stracił też jesienny płaszcz i piękne rękawiczki, z których był tak dumny. Miał na sobie tylko szkolny mundur z niebieską tarczą na rękawie. Na tarczy naszyty był numer 365. Z tym numerem, w piętnastym roku życia, o godzinie siódmej wieczorem, rozpoczynał swoją wielką, o wiele większą niż przypuszczał przed paroma jeszcze dniami, przygodę wakacyjną. „Dnia pierwszego września roku

pamiętnego”, jak podpowiada piosenka.

Podróż trwała przez następnych siedem dni. W wagonie, do którego Leszek zdążył wskoczyć, jechała rodzina kolejarza z Międzychodu, stacji granicznej na linii kolejowej Poznań-Berlin. Kolejarze dostali polecenie ewakuacji ze względu na to, że mogli stać się pierwszymi ofiarami okupanta. W wagonie wieźli całe wyposażenie domu, które zdążyli zabrać. Wśród mebli leżały materace, kołdry, pierzyny. Inne wagony towarowe załadowane były podobnie. Kolejarz i jego żona byli w średnim wieku. Mieli dwoje dzieci. Syn był starszy, a córka w wieku Leszka.

Na początku podróży Leszek siedział osobno na stopniach wagonu smutny i zamyślony. Wpatrywał się otępiałym wzrokiem w przestrzeń. Z upływem czasu zaczął rozmawiać z przygodnymi znajomymi. Od nich też dostał pierwszy posiłek. Nie jadł cały dzień, był głodny, ale głód zaczął mu dokuczać dopiero z nadejściem zmroku. Następnego dnia syn kolejarza wypatrzył tuż za lokomotywą wagon wiozący, oprócz zwykłych pocztowych przesyłek, także wielką pakę sera z niemieckiej spółdzielni mleczarskiej na Pomorzu. Z pomocą kilku innych kolejarzy przecięli scyzorykiem deski skrzyni i dobrali się do olbrzymiego, metrowej średnicy kręgu gołubskiego sera. Przez cały dzień posilali się żółtym serem, bo na stacjach nie można było niczego kupić, wszędzie panował zamęt. Dopiero trzeciego dnia podróżni mogli korzystać z punktów sprzedaży żywności zorganizowanych

na peronach przez Polski Czerwony Krzyż. W czasie krótkich postojów pasażerowie śpieszyli do rozstawionych stołów z czystymi, białymi obrusami, na których stały tace z kanapkami, dzbanki z kawą zbożową, a czasem i kakao, kotły z zupą i stopy blaszanych misek.

Pociąg jechał wolno, bywał przetrzymywany na niektórych stacjach. Leszek stał się członkiem kolejarskiej rodziny. Sypiał w kącie wagonu pod jedną z ich kołder, jadał z nimi posiłki. Razem wypatrywali nieprzyjacielskich samolotów i razem uciekali w pole, gdy się zbliżały. Pociąg nie miał ochrony przeciwlotniczej i mógł stać się łatwym łupem dla przelatujących eskadr z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Pierwsze bombardowanie zaskoczyło i pasażerów i obsługę pociągu. Maszynista nie zahamował, gwizd bomb mieszał się z monotonnym stukotem kół pociągu. Skuleni wśród swych rzeczy pasażerowie dopiero po długiej chwili mogli odetchnąć z ulgą. Tym razem nikt jednak nie zginął, nalot nie wyrządził wielu szkód. Później obserwatorzy ostrzegali maszynistę w porę, zatrzymywał więc pociąg i dawał gwizdem lokomotywy sygnały alarmowe. Wtedy kto mógł wyskakiwał z wagonów i szukał schronienia w zagłębieniach ziemi. Bomby zrzucone były z dużej wysokości, a więc niecelne. Znacznie bardziej niebezpieczne były pojawiające się w pojedynkę myśliwskie samoloty, które z małego pułapu ostrzeliwały pociąg z broni pokładowej.

W czasie jazdy Leszek przesiadywał najczęściej na stopniach wagonu. Nie opierał nóg na stopniach, pozwalał, by zwisały bezwładnie poza stopniami. Ten bezwład nóg przenikał całe ciało, wdzierał się w zakamarki umysłu, paraliżował. Ale błyskawicznie mijał, gdy odzywał się alarm. Bezwład i odpoczynek to jedno. Sprężenie do skoku, skok, bieg, to co innego, to niczym nie pohamowane działanie. W każdej chwili gotów był do sprężenia mięśni, poderwania się, do szybkich ruchów. Był przecież harcerzem, był nastawiony na to, że nie można się poddawać byle trudnościom. Pokonywał strach, jak pokonywał przestrzeń dzielącą tory od pola, od lasu. Przeskakiwał rów, biegł. Dopadał zagłębienia w ziemi, krył się jak tylko potrafił. A potem znowu kiwał nogami nad stopniem wagonu, patrzył przed siebie.

Pociąg posuwał się wolno, ale wytrwale ku stolicy. Ewakuowani z pogranicza ludzie zdążali w tym samym kierunku, co Leszek. Wiedzieli, że w pobliżu Lwowa czekają na nich kwatery zastępcze. Tam znaleźć mieli domy z daleka od porzuconych w pośpiechu własnych domów. Leszek jechał do swoich, którzy na niego czekali. Zapewne niepokoił się, nie wiedzieli przecież nic o jego podróży przez objętą wojną Polskę. W Warszawie Leszek dowiedział się, że jego pociąg zostanie skierowany przez Siedlce i Łuków, bo linia bezpośrednia na Rozwadów była silnie bombardowana. Na stacji za Warszawą, gdzie zostali zatrzymani na wyjątkowo długi postój, dowiedział się, że obok stoi inny

pociąg, który ma odjechać szybciej w kierunku Lwowa. Nie zastanawiał się długo. Pożegnał się z rodziną kolejarza i wskoczył do innego pociągu, też pełnego uciekinierów z zachodniego pogranicza.

Na wschód od Wisły było dość spokojnie. Na małej stacji w Lubartowie wysoki, brodaty Żyd rozdawał ludziom bochenki chleba. Postój w Zamościu był szczególnie miły. Ordynacja Zamoyskich zgotowała uciekinierom serdeczne powitanie. Na stacji czekało na nich wyśmienite jedzenie, a na deser częstowano kiściami słodkich, soczystych winogron rozłożonymi na wielu tacach. Kiedy zbliżali się następnego dnia do Rawy Ruskiej, zostali zatrzymani daleko przed stacją. Miasto przeżywało właśnie nalot bombowy. Z daleka było widać dymy płonących zabudowań. Na płonącą wciąż stację wjechali dopiero o zmroku, pół godziny po odwołaniu alarmu. Peron był wypełniony gruzem i potłuczonym szkłem. Były ślady krwi, sanitariusze biegali z noszami.

Z tego pociągu Leszek raz jeszcze przesiadł się, tym razem do osobowego pociągu jadącego wprost do Lwowa. Wsiadł na stacji Kleparów. W domu przy ulicy Łyczakowskiej znalazł się około południa. Matka witała go w progu ze łzami radości. Był jednym z trzech synów, którzy po wybuchu wojny pozostawali poza domem. Rodzice niepokoiли się bardzo o ich losy, obawiali się najgorszego. O Tadziku i Zbyszku nie było żadnych wieści.

Ostatnią rozmową z Tadzikiem była rozmowa Leszka przez telefon. Zbyszek, mój ojciec, został zmobilizowany do piechoty na drugi dzień po powrocie ze studenckiej wycieczki do Rumunii. Ironią losu powędrował po rozbiciu armii niemal tą samą drogą na południe. Odnalazł się we Francji, a rodzice witali go dopiero po latach, już nie we lwowskich, a w śląskich progach. Najmłodszy Leszek był przez całą okupację w lwowskim oddziale Armii Krajowej. Mieszkał z rodzicami. Po powrocie Leszka do Lwowa rodzina zebrała najpiękniejsze kwiaty z ogrodu i zaniósł je do kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Modlili się razem: „Na Twym świętym progu, za wrócone życie dziękujemy Bogu”. Podobnie, choć nie w tej samej świątyni, mogli się modlić po powrocie mojego ojca z tułaczki. Nie mogli jednak powtórzyć słów modlitwy po raz trzeci.

W tych samych dniach września, gdy Leszek podróżował z Poznania do Lwowa, Tadzik, jako obserwator Drugiego plutonu Trzydziestej Trzeciej Eskadry Obserwacyjnej (godło pasikonik z lornetką na tle białego rombu), wykonywał loty rozpoznawcze. Mobilizację sierpniową eskadra przeprowadziła na macierzystym lotnisku Ławica. Uzyskała stan gotowości bojowej 26 sierpnia. Rzut kołowy dojechał do jednostki w nocy z 28 na 29 sierpnia. Dowódca, kapitan obserwator Stanisław Zaleski miał do dyspozycji siedem samolotów „Czapla” (RWD 14). Drugi pluton został przesunięty na lotnisko Dembe koło Kalisza. W dniach 2 i 3 września załogi obu plutonów wykonały po kilka lotów

rozpoznawczych. Załogi drugiego plutonu przeniosły się przed wieczorem w rejon miasta Turek. Wieczorem 4 września, nastąpiło kolejne przeniesienie w rejon Inowrocławia. Tego dnia podporucznicy Sawicki, Tomaszewski i Wilczyński wykonali trzy zadania dla dowódcy 25 DP. Następnego dnia, 5 września wykonały trzy zadania m.in. w rejonie Kalisz i Ostrów Wielkopolski. Z rozpoznania w rejonie Poddębice i Warta nie wrócili podporucznik Sawicki i kapral-pilot Ślebioda. W sumie, od 1 do 14 września, załogi 33 Eskadry wykonały 44 zadania bojowe, w tym 4 loty łącznościowe. Straty eskadry to 4 poległych, w tym Tadeusz Sawicki oraz 8 zaginionych, w tym Józef Tomaszewski. Z siedmiu „Czapli” nie została ani jedna, żadna więc nie była ewakuowana do Rumunii.

Do tej relacji z książki „Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939” opublikowanej w serii „Skrzydlatej Polski” w roku 1982 dodać mogę, na podstawie wspomnień rodzinnych, że Tomek (Józef Tomaszewski) zjawił się we Lwowie już po zajęciu miasta przez Sowieców. Tomaszewski lądował w rejonie Chełma razem z kolegą, podporucznikiem Rejeckim. Szukał możliwości przedostania się na Węgry. Do domu rodzinnego Tadzika trafił w ubraniu cywilnym, podpierał się na lasce. Nie miał wiadomości o Tadziku. Parę dni ukrywał się z kolegą u moich dziadków w willi przy ulicy Łyczakowskiej. Po ich odejściu dziadkowie już nigdy o nich nic nie słyszeli.

Stryj Leszek opowiedział ze szczegółami swoje przygody podczas imienin ojca, pierwszego kwietnia 2006 roku. Na imieniny matki, Zofii, przyniósł tekst wspomnień spisany na maszynie. Zakończył swoje wspomnienia relacją z pierwszych dni okupacji sowieckiej.

Dwudziestego drugiego września oglądałem pierwszych sowieckich żołnierzy wkraczających do miasta. Całe miasto ogarnęła cisza. Ulica była pusta, przerażeni mieszkańcy stali w bramach albo przy oknach domów. Podeszedłem do furtki przy ogrodzeniu. Od strony rogatki łyczakowskiej, z góry, dochodził tupot butów. Już te odgłosy sygnalizowały krok nieskładny, nie rytmiczny. Podeszli bliżej. Szli po obu stronach ulicy luźnymi szeregami. Nie maszerowali, ale właśnie szli. Było coś dziwnego w ich poruszaniu się, coś, co uderzało patrzącego, nawykłego do maszerowania w pełnym ładzie harcerza. Rozglądali się wokoło ostrożnie, stąpali powoli. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymali kurczowo karabiny z długimi, czworokątnymi bagnetami. Ubrani byli w rozmaite mundury, w hełmach lub w dziwnych szpiczastych czapkach z nausznikami i dużymi czerwonymi gwiazdami naszytymi nad czołem. Gdy mijali furtkę pomyślałem, że ich krok to nie krok żołnierzy, lecz skradających się złodziei.

---

Zob. też:

<http://www.cultureave.com/czapla-listy-pilota-najnowsza--ksiazka-ryszarda-sawickiego/>

---

Emisariuszka Elżbieta  
Zawacka (1909 –  
2009)



Elżbieta Zawacka, fot. materiały prasowe.

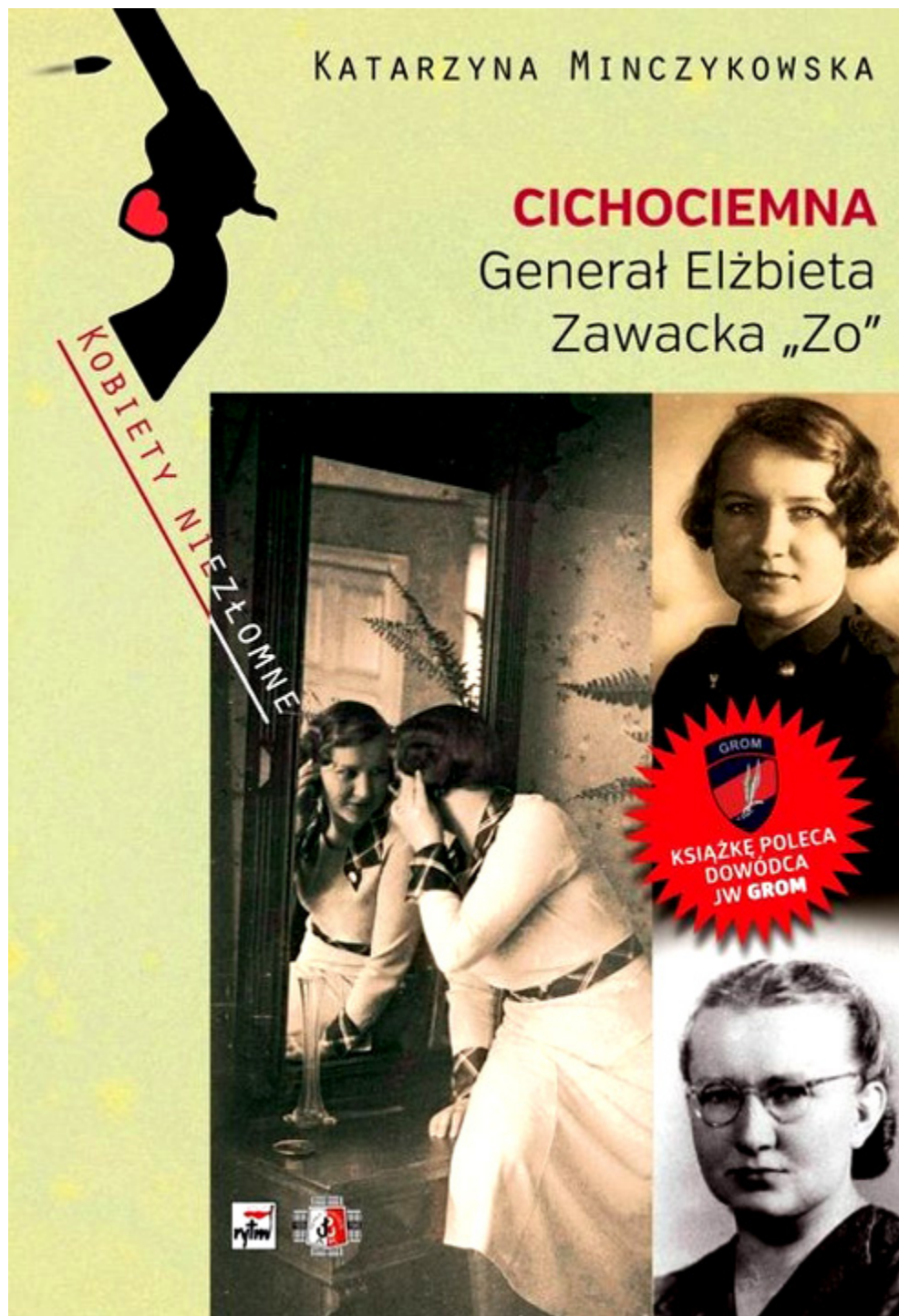
Elżbieta Zawacka to niezwykła postać. Jedyna kobieta wśród cichociemnych, druga w historii Wojska Polskiego kobieta generał, kurier i emisariuszka Armii Krajowej, uczestniczka Powstania Warszawskiego, a do tego matematyk i profesor nauk humanistycznych specjalizującą się w historii najnowszej.

Jan Nowak-Jeziorański napisał o niej w „Kurierze z Warszawy”:

Nawet w konspiracji, gdzie panuje anonimowość, „Zo” stała się postacią legendarną. (...) straciła rodzinę. Uchodziła za człowieka ostrego i wymagającego od innych, ale najbardziej od samej siebie. Jej oddanie służbie graniczyło z

fanatyzmem. (...) Średniego wzrostu, blondynka o niebieskich oczach miała w sobie coś męskiego. Była surowa, poważna, trochę szorstka i bardzo rzeczowa. W czasie rozmowy ani razu nie uśmiechnęła się, nie padło ani jedno słowo natury bardziej osobistej, nic co nie wiązało się ze służbowym tematem. „Zo” nie miała na to czasu. Dopiero na pożegnanie poczułem ciepły, mocny uścisk dłoni i usłyszałem lekkie westchnienie: Daj Boże, żebyście dotarli.

**W 2014 roku w wydawnictwie Rytm ukazała się książka Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna Generał Elżbieta Zawacka Zo„. Od tej pory autorka opowiada o tej niezwyklej postaci. 17 kwietnia 2018 r. w Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu miał miejsce wykład dr Katarzyny Minczykowskiej oraz wystawa poświęcona Elżbiecie Zawackiej.**



Elżbieta Zawacka urodziła się 19 marca 1909 r. w Toruniu, zmarła 10 stycznia 2009 r. tamże. Przyszła na świat w czasie, gdy Toruń znajdował się pod zaborem pruskim, jednak szkołę podstawową i gimnazjum kończyła już w wolnej Polsce. Maturę zdała w Żeńskim Gimnazjum Humanistycznym, a następnie

skończyła studia matematyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Po studiach podjęła pracę jako nauczycielka w szkole średniej i udzielała się społecznie jako instruktor Przysposobienia Wojskowego Kobiet (PWK).

We wrześniu 1939 r. była żołnierzem Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Wojskowej, walczącym w obronie Lwowa. Pod koniec 1940 roku przeniesiono ją do Warszawy - dostała przydział do Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej Armii Krajowej *Zagroda*. Od połowy 1941 r. jeździła między Warszawą a Berlinem, przewożąc w obie strony pocztę, która kursowała przez Szwecję do Londynu i z powrotem. Jej zadaniem było też zorganizowanie szlaków kurierów podążających do Londynu przez Niemcy. W latach 1939-1945, korzystając z fałszywych dokumentów, przekraczała granicę Rzeszy setki razy (przy setnym, w 1942, przestała liczyć), przenosząc raporty, meldunki i informacje, zaś w przerwach między wyprawami uczyła i była uczona na tajnych kompletach. Używała pseudonimów „Zelma”, „Sulica”, „Zo”.

W lutym 1943 roku wyruszyła jako emisariuszka Komendanta Głównego AK Stefana Roweckiego przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Jej misja miała dwa cele: poprawę łączności między Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie a KG AK w Warszawie oraz przedstawienie żądań gen. Roweckiego na temat regulacji

prawnych dotyczących sytuacji kobiet w Wojsku Polskim. Z Londynu powróciła 9/10 września 1943 zrzucona ze spadochronem w ramach akcji „Neon 4” na placówkę „Solnica” pomiędzy zabudowaniami majątku we wsi Osowiec a folwarkiem we wsi Chawłowo (zrzut przyjęty we wsi Wólka Brzozokalska obecnie Adamów Wieś, koło Grodziska Mazowieckiego w zabudowaniach Jana Siwca. Dowódca kpt. naw. Stanisław Król Ekipa XXIX wraz z por. Bolesławem Polończykiem „Kryształ” i ppor. Fryderykiem Serafińskim „Drabina”).



Elżbieta Zawacka, fot. z książki Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka Zo”.

W marcu 1944, gdy Zo groziło aresztowanie, wycofano ją z działalności kurierskiej i przeniesiono do służby w dowództwie Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Działając w WSK, brała udział w Powstaniu Warszawskim, a po kapitulacji przedostała się do Krakowa, gdzie odbudowywała zerwaną łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza. Zdemobilizowana w lutym 1945 r. dalej pracowała w konspiracji: najpierw w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, następnie w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Z działalności antykomunistycznej zrezygnowała w 1946 r., podejmując pracę w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przynależenia Wojskowego przy Ministerstwie Obrony Narodowej, z której - ze względów politycznych - musiała zrezygnować w 1948 r.

W latach 1948-1951 pracowała jako nauczycielka w Łodzi, Toruniu i Olsztynie. 5 września 1951 została aresztowana przez MBP (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) i po procesie skazana na 10 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszła 24 lutego 1955.

**W 2005 r. powstał film dokumentalny o Elżbiecie Zawackiej pt. „Miałam szczęśliwe życie” według scenariusza i w reżyserii Marka Widarskiego.**

Wróciła do pracy w szkolnictwie, ucząc w szkołach w Sierpcu i Toruniu. W 1965 r. na UMK w Toruniu obroniła doktorat

(promotor: prof. Ludwik Bandura) i podjęła pracę na stanowisku adiunkta Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku (od 1972 r. Uniwersytet Gdański). W 1973 r. w Wykowie (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny) uzyskała tytuł doktora habilitowanego. Nie mając szans na utworzenie własnego zakładu andragogiki w Gdańsku (o czym marzyła), w 1975 r. przyjęła propozycję UMK stworzenia nowo powstającym Instytucie Pedagogiki i Psychologii. W 1976 r. wyjechała w celach naukowych do Londynu, po powrocie spotkały ją liczne szykany i represje tak ze strony SB, jak i władz Instytutu, w którym pracowała. Przeszła dwa zawały serca oraz długą rekonwalescencję, a w 1978 r. została zmuszona do odejścia na emeryturę. Do badań z zakresu nauk pedagogicznych nigdy nie powróciła.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych Elżbieta Zawacka zajęła się gromadzeniem materiałów historycznych, dokumentujących działalność Armii Krajowej w czasie wojny jako emerytka powróciła do tej pracy. Działała w ruchu kombatanckim „Solidarności”, w 1986 współorganizowała w Toruniu Klub Historyczny przy toruńskim oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (działający następnie jako Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka). Dzięki jej zaangażowaniu grono kilku osób w Toruniu zainicjowało, w końcu 1988 r., powstanie ogólnopolskiego stowarzyszenia byłych żołnierzy Armii Krajowej (obecnie Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej). W

pierwszym zarządzie głównym tej organizacji, który kładł podwaliny pod jej dalszy rozwój, pełniła funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. W 1990 zainicjowała utworzenie Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” – była jej pierwszym prezesem, a po latach honorowym przewodniczącym Rady. Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka był integralną częścią założonej przez Zawacką Fundacji i funkcjonował do początku XXI w.

W 1989 została laureatką Medalu Stolema – wyróżnienia przyznawanego w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim osobom, które w szczególny sposób przyczyniły się do pomnożenia dorobku i osiągnięć kultury i Pomorza lub do ich spopularyzowania. W 1990 została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1993 Krzyżem Komandorskim tego orderu z gwiazdą. Od 1996 była profesorem nauk humanistycznych. W 1993 r. Rada Miasta Torunia przyznała jej tytuł Honorowego Obywatela tego miasta, w 2008 r. została Honorowym Obywatelom Piastowa.

3 maja 2006 roku na wniosek warszawskich środowisk kombatanckich Prezydent RP Lech Kaczyński awansował ją do stopnia generała brygady. Została wówczas drugą kobietą-generałem w historii Wojska Polskiego.

W 1990 roku z jej inicjatywy powstała Fundacja Archiwum i

Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służbie Polek w Toruniu, obecnie Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej.

<http://www.zawacka.pl/>

*(źródło biografii Elżbiety Zawackiej: Wikipedia)*

**Na podstawie książki Katarzyny Minczykowskiej powstaje film fabularny o Elżbiecie Zawackiej. Reżyserem zwiastuna filmowego jest Bartłomiej Żmuda. W rolę tytułowej bohaterki wcieliła się Katarzyna Bujakiewicz.**

---

Muzeum  
im. Bolesława

# Orlińskiego w Kanadzie.

**Muzeum i Archiwum im. Płk. Pilota Bolesława Orlińskiego w Domu Seniora Wawel Villa przy 880 Clarkson Road S. Mississauga, Ontario, L5J 4N4 Canada.**



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

## **Henryk Radecki**

Muzeum i Archiwum im. Bolesława Orlińskiego zostało otwarte 24 lutego 2002 r. Znalazły się nim pamiątki i spuścizna po słynnym „Ojcu polskiego lotnictwa” oraz jego kolegach i

przyjaciołach.

Płk. pilota Bolesława Orlińskiego rozstawił pierwszy w historii przelot z Warszawy do Japonii w 1926 r. Za ten niezmiernie trudny i bardzo niebezpieczny wyczyn otrzymał najwyższe odznaczenia od Cesarza Japonii jak i też od Prezydentów Francji i Polski.

Po jego śmierci w lutym 1992 r. koledzy i przyjaciele z lat Walk Powietrznych o Wielką Brytanię (*the Battle of Britain*) w 1941 r., tacy jak Stanisław Skalski, Janusz Żurkowski, Władysław Potocki i wielu innych zdecydowali uczcić pamięć ich przyjaciela i kolegi założeniem Muzeum jego imienia. Muzeum zostało oficjalnie otwarte w siedzibie Wawel Villa, gdzie jest czynne do dziś, pozostając pod opieką pierwszego i do tej pory głównego kuratora, Jerzego Kowalczyka.



Wejście do siedziby Domu Seniora Wawel Villa w Mississaudze, gdzie mieści się Muzeum im. Bolesława Orlińskiego.

Pierwsze zbiory pamiątek ograniczały się do polskiego lotnictwa, ale szybko doszły inne przedstawiające wszystkie rodzaje Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, dary Polonii miejscowej i innych skupisk polonijnych w okolicach torontońskiej metropolii. Po stosunkowo niedługim czasie Muzeum mogło urządzać wystawy eksponatów nie tylko lotnictwa, ale też Wojska Polskiego, Marynarki i nawet Brygady Spadochronowej. W maju 2012 r. Muzeum wzbogaciło się o zbiory z nieczynnego *Polonia Museum*, aktywnego przez parę lat przy Polskiej Placówce Kanadyjskiego Legionu 418 w St. Catharines, Ontario.

W 2016 r. powstał dodatkowy dział - „Pokój Andersa”, przedstawiający działalność Wojskowych Szkół Junackich w Związku Sowieckim i na Środkowym Wschodzie w latach 1941-1947. Zbiory tej sekcji muzealnej przedstawiają wzory

mundurów kadeckich, junackich, młodszych ochotniczek i młodego lotnika. Między innymi są tam składy podręczników szkolnych, wydawnictw z Jerozolimy w latach 1943 i później, ręcznie sporządzone skrypty, odznaki szkolne i albumy z oryginalnymi zdjęciami z tamtych lat. W toku publikacji jest obszerna Historia Wojskowych Szkół Junackich w latach 1941-1947 autorstwa jednego z kustoszy/wolontariuszy.



Pokój Andersa w Muzeum im. Bolesława Orlińskiego, z mundurami kadeta, lotnika, młodszej ochotniczki i junaka.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Biblioteka przy Muzeum z ponad tysiącem pozycji prac historycznych, dokumentalnych i pamiątkarskich, jak też obszerne i ważne składy dokumentacji archiwalnej, mogą służyć badaczom, naukowcom i młodzieży w pracach akademickich.

W maju 2016 r. w rocznicę Bitwy pod Monte Cassino, grono wolontariuszy/pracowników zorganizowało Akademię z programem wystaw, przemówień, śpiewów i wyróżnień jeszcze żyjących uczestników tej Bitwy. Pod egidą Muzeum została też wydana dwujęzyczna, ilustrowana broszura.

Niektórzy kuratorzy/wolontariusze są głęboko zaangażowani w

historię 22-tysięcznej Polskiej Ochotniczej Armii, która ćwiczyła się w Niagara-on-the-Lake w Ontario, a potem walczyła we Francji w 1918 r. i jako część Armii Hallera w latach 1919-1920 i brała udział w walkach o granice Polski. W Muzeum miasteczka Niagara-on-the-Lake ci kuratorzy/wolontariusze zorganizowali bogatą wystawę pamiątek po tych żołnierzach, jak i zdjęć czy plansz z życia obozowego. Wielu z kuratorów/wolontariuszy bierze udział w specjalnych uroczystościach na polskim wojskowym cmentarzyku w tym miasteczku.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w



Plk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.

Wolontariusze/pracownicy organizują wystawy zbiorów muzealnych na spotkaniach z młodzieżą Szkół Polskich w okolicach metropolii torontońskiej czy też w St. Catharines, Ontario. Organizowane są również wystawy Muzeum na dorocznych polonijnych Festynach takich jak „Festiwal ulicy Roncesvalles” w Toronto czy „Dzień Polski” w Mississaudze, Ontario.

Stała ekspozycja w Muzeum Orlińskiego przedstawia zbiory wielu ważnych i niezwykłych pamiątek, mundurów i wysokich odznaczeń wojskowych, oryginalnych obrazów i albumów z fotografiami z czasów II wojny światowej. W składach można znaleźć oryginalne dokumenty, legitymacje, świadectwa, dyplomy i inne bezcenne archiwalia.

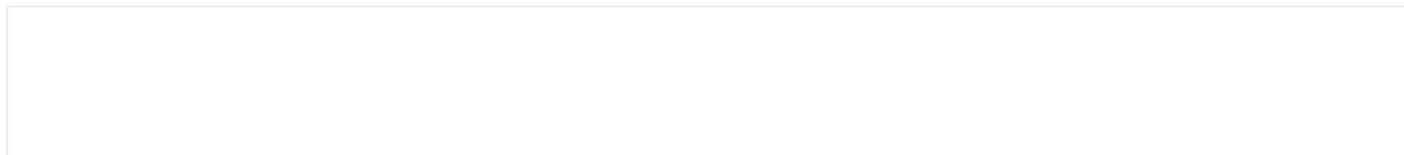


Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Muzeum Orlińskiego bez zastrzeżeń może twierdzić, że nie istnieją tak bogate zbiory pamiątek czy też materiałów historycznych dotyczących Wojska Polskiego z okresu II wojny światowej przy jakiegokolwiek grupie lub organizacji polonijnej w Kanadzie. Zapraszamy wszystkich chętnych do zwiedzania Muzeum Płk. Pilota Bolesława Orlińskiego.



## Galeria

*Dowódca 305 dywizjonu bombowego, bohater przelotu Warszawa—Tokio—Warszawa, podpułkownik Bolesław Orliński, ze swym nawigatorem Lemieszonkiem w kabinie samolotu „mosquito”*





Order „Wschodzącego Słońca” oraz Dyplom od Cesarza Japonii w uznaniu zasług dla pilota, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński przed PZL P.6, Cleveland 1931, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.

**Linki:**

<https://roundme.com/tour/146038/view/369478/>

<http://tinyurl.com/mywj3nr>

<https://goo.gl/photos/bMJBXQtq9k9wf2Xv6>

---

# Amerykańskie spinki ojca



Romuald Mieczkowski (z lewej) po odebraniu nagrody dla dziadków – Krzyża za Ratowanie Życia, z rąk prezydenta Valdas Adamkusa (z prawej), fot. arch. R. Mieczkowskiego.

## **Romuald Mieczkowski**

Przeglądając rodzinne archiwa, znalazłem list z Ameryki do mojej matki z początku lat pięćdziesiątych. Na stemplu pocztowym nie udało się odczytać daty. Czytelna jest tylko pieczętka z napisem *międzynarodnoje*. Na wstępie listu są słowa:

Kochana, Jadziu i cała Rodzina, jestem zadowolona, że u Was wszystko dobrze, że zdrowy kochany Tatuś Stanisław...

I dalej list jak list, pisany niewprawną ręką, z ortograficznymi błędami. Opowieść o sprawach przyziemnych, o tym, że córka Kryśka wyszła za mąż, ma dwie córeczki i syna, że razem z Nochimem autorka listu prowadzi sklep mięsny i tego starczy na życie, że tak w ogóle, narzekać nie ma czego. Dalej informuje, że Lejba i Lejbowa przez pewien czas byli na wsi, gdzie hodowali kury, ale rzucili to zajęcie i przyjechali do Nowego Jorku, gdzie i im powodzi dobrze. W końcu nadawca listu obiecuje wysłać paczkę, pozdrawia i *całuje niezliczoną ilość razy*.

Szara koperta, zniszczona przez czas. Pisała Sonia Gołąb, i adres: 1920 Woltuway, Bronx 53, N.Y. Ulica może mieć inną pisownię, gdyż trudno odczytać jej nazwę.



Dom Pietrowskich. W centrum dziadek Stanisław, fot. arch. R. Mieczkowskiego.

Odgrzebuję szczątkowe fragmenty tej historii z dzieciństwa o rodzinie żydowskiej, którą szczęśliwie w czasie wojny uchronił mój dziadek Stanisław Pietrowski. Niestety, rodzice zeszli nagle i dość młodo z tego świata i nie znam szczegółów przyjaźni mojej matki z Sonią Gołąb. Pamiętam, jak prosiliśmy o przesiąknięte zgrozą opowieści z czasów wojny. Dziadek mieszkał na *odnosiołku*, po środku pola stała jako jedyna jego zagroda. Na jego hektarach stanęła potem niemal cała dzielnica mieszkaniowa Wilna - Poszyłajcie. Kilka drzew dziś znaczy topografię byłego domostwa, tuż obok zbudowano podstację

elektryczną.

Przed wojną był typowym ziemianinem. Prowadził gospodarstwo i z tego żył. Całkiem nieźle. W czasie wojny przychodził z pomocą Żydom. Po prostu jako parobkowie i „dalecy krewni” pracowali oni na gospodarstwie, powiększając i tak liczną rodzinę. Umorusani, o spracowanych rękach, w tym miejscu nie rzucali się szczególnie w oczy, choć - co tu mówić - mimo podrobionych dokumentów, ryzyko istniało duże. Były momenty, kiedy rodzina wraz z „krewnymi” stała pod ścianą, zaś dom lada chwila miał być podpalony. Ale litewska policja była przekupna - w czasie wyjaśniania podejrzeń dziadek Stanisław wytrwale stał przy swojej wersji i dla załagodzenia sytuacji coś przynosił, potem jeszcze przynosił, aż w końcu na pewien czas dawano spokój. Najazdy takie powtórzyły się dwa albo trzy razy.



Jadwiga Mieczkowska - matka autora, fot. arch. R. Mieczkowskiego.

Matka opowiadała o tym, jak w czasie, kiedy jej najbliżsi wraz z Żydami czekali na decyzję - czy mają odmaszerować w stronę Ponar, czy ich rozstrzelają na miejscu, ona jako najmłodsza, schowana na strychu, po cichu płakała, spoglądając przez szczeliny w deskach na podwórko. Dziś trudno wyjaśnić, ile kosztowała cena życia, ale pertraktacje dziadka były skuteczne - wojnę przeżyli wszyscy.

Po wojnie Żydzi wyjechali. Z początku jako obywatele Polski „za

Bug”, potem trafili za ocean. Zachowali swą wdzięczność rodzinie Pietrowskich. Przez pewien czas przysyłali paczki. Raz w udziale matki przypadła niezwykle modna, bo z jakiegoś błyszczącego materiału sukienka, ojciec dostał rulon sukna w kratkę na garnitur, koszulę i plastikowe spinki ze słonikami. W czasie przyjęć rodzinnych ciotki obowiązkowo chciały pomacać tkaninę, która „nie gniece się”, zaś ojciec był dumny ze swego „amerykańskiego” garnituru i nylonowej koszuli.



Helena Mieczkowska i Stanisław Pietrowski, babcia po ojcu i dziadek po matce, fot. arch. R. Mieczkowskiego.



Maria i Stanisław Pietrowscy z wnuczkami, pocz. lat 50., fot. arch. R. Mieczkowskiego.

Listów z Ameryki było więcej. Ale jak to bywa w życiu - rodzina się rozproszyła, nie stało starszych. Jeszcze w niedalekich czasach starano się nie przyznawać do jakichś znajomości zagranicznych. Przetrwały tylko śmieszne amerykańskie spinki ojca.

23 września 1999 roku prezydent Litwy Valdas Adamkus nagroził pośmiertnie moich dziadków - Marię i Stanisława Pietrowskich Krzyżem za Ratowanie Życia, składając wyróżnienie

na ręce autora niniejszej opowieści.

---

# Milczenie słów. John Guzłowski i jego poezja.



John Guzłowski, fot. arch. autora.

**John Guzłowski** jest polsko-amerykańskim poetą, autorem trzech powieści, wykładowcą literatury angielskiej i amerykańskiej na Eastern Illinois University w Charleston (USA) oraz autorem prac z zakresu krytyki literackiej. Urodził się w roku 1948 w obozie dla uchodźców w Vinenbergu w Niemczech. Jego rodzice pracowali w nazistowskich Niemczech jako niewolnicy. Ojciec został schwytany w 1940 roku pod Poznaniem, a matka złapana w pobliżu jej domu na zachód od Lwowa i przewieziona do Niemiec w 1942 r. Obydwoje pracowali w obozach koncentracyjnych oraz fabrykach i gospodarstwach rolnych do końca wojny. Następnie znaleźli się w obozie dla uchodźców w Niemczech. W 1951 roku jako przesiedleńcy

przyjechali do Stanów Zjednoczonych z dwójką dzieci i zaczęli budować nowe życie w Chicago. Wiersze Johna Guzłowskiego dotyczą bolesnych tematów z przeszłości rodziców i im podobnych poranionych przez wojnę i zapomnianych.

*Język Mułów i inne wiersze* to dwujęzyczny tom Johna Guzłowskiego, przetłumaczony przez poetę Bohdana Zadurę, mający dwa wydania - *Language of Mules*, Charleston, IL: DP Press, 1999 oraz *Język Mułów i inne wiersze*, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002. Naziści określali koślawą niemczyzną przymusowych robotników w obozach językiem mułów, nie ludzi. Stąd tytuł tomu.

**Czesław Miłosz, laureat Nagrody Nobla, w recenzji zbioru wierszy Johna Guzłowskiego „*Language of Mules*” napisał, że dzieło Guzłowskiego „zadziwiło” go i pokazało „wielką umiejętność uchwycenia rzeczywistości”.**

Poezje Johna Guzłowskiego były ponadto publikowane w *Writer's Almanac* Garrisona Keillora, *Rattle*, *Ontario Review*, *North American Review* i wielu innych pismach literackich w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Jego wiersze i eseje o podłożu osobistym, pojawiają się też w publikacji p.t. *Echoes of Tattered Tongues: Memory Unfolded*, Los Angeles: Aquila Polonica Press, 2016.

Książka *Echoes of Tattered Tongues* została w 2017 roku uhonorowana nagrodami: *Benjamin Franklin Poetry Award* oraz *Eric Hoffer Foundation's Montaigne Award*.

John Guzlowski o swojej rodzinie i życiu pisze na blogu:

<http://lightning-and-ashes.blogspot.com/>

*oprac. polskiej wersji notki biograficznej poety: Joanna  
Sokołowska-Gwizdka*

DIPISI

Przyszliśmy z ciężkimi walizami  
zrobionymi z desek przez braci  
których zostawiliśmy, przyszliśmy z Magdeburga,  
i Katowic, a przedtem  
ze Lwowa, prawdziwego domu naszej matki,

przyszliśmy z naszymi językami  
w strzępach, z zębami w kieszeniach,  
tulący tylko samych siebie, nasze ciała  
sztywne jak przerażone ostrygi.

Byliśmy dziećmi w wełnianych szmatach,  
które wymieszały się w szeregu do jedzenia lub modlitwy  
lub zebrania o czyjeś miłosierdzie.

Pamiętając powietrze i drzewa,  
niebo nad polskimi polami,  
śniliśmy tylko o żywych czekających

na nas w Chicago i St. Luis

i Superiorze, Wisconsin

jak centy

w naszych ustach

**przełożył Bohdan Zadura.**

Z tomu „Język Mułów i inne wiersze”, Katowice, Biblioteka  
Śląska, 2002.

## **BÓG FAL**

(God of the Waves)

*Ale Bóg jest Bogiem fal i bałwanów, one są Jego również wtedy,  
gdy przewalają się nad nami; a my znów, raz jeszcze  
udowadniamy, że przytłaczająca nas siła nie przytłacza nas. Raz  
jeszcze, za jego wstawiennictwem, nadchodzi wyswobodzenie.*

*Zostaliśmy pogrążeni, ale nie zniszczeni.*

## **Amy Wilson-Carmichael, chrześcijańska misjonarka z Indii**

Bóg pamięta ten zegarek  
mężczyzna miał go ze sobą gdy jego ręce  
bezgłośnie ginęły pod falami -  
cyferblat wiszący w ciemnościach  
jak porzucone okruchy gwiazdowego pyłu  
na smagającej czarnej wodzie.

Czy człowiek ten błagał o coś,  
może zrywając pełne wody płuca  
wzywał Jego imię? Bóg chciałby

ale nie umie przypomnieć sobie.

Chwileczkę, jest wreszcie. To powraca

chłodnym przypływem pamięci, twardym

jak żwir, głębokim niczym płacz matki.

Bóg strząsa to z siebie, myśli

o czymś innym - oliwnym gaju nocą.

Będąc w Nazarecie jako chłopiec

ukochał ciszę świętych gwiazd

płynących strumieniami po Boskim niebie.

**przełożył Henryk Cierniak**

## POLSKA

Nigdy jej nie zobaczą, ci starzy Polacy  
którym stale śni się Polska. Kiedy byłem chłopcem  
ojciec powiedział mi że ci którzy tego próbowali  
w '45 zostali zawróceni na granicy  
przez bosonogich Rosjan w łachmanach  
na kosmatych kucykach. Polacy uciekali przez lasy  
ci którzy mieli pecha zostawali w tyle, martwi  
albo co gorsza ranni, ci którzy mieli szczęście  
wracali do swoich starych baraków w obozach  
koncentracyjnych albo obozach pracy

w Gatersleben lub Wildflecken aby czekać

na jakiś cud który by ich przeniósł

do Poznania albo Katowic. Lecz Bóg

ich nie wysłuchał, a może miał ręce pełne

roboty gdzie indziej. Później, w Ameryce

ci Polacy spotykali się każdego roku

ze swoimi braćmi, a także swoimi afektowanymi

synami i córkami w święto Konstytucji 3 Maja,

aby się modlić w intencji flagi. Nie było wątpliwości

co znaczą te dwa kolory, czerwień wszystko to

co rodzi smutek, a biel to niewinność.

I zawsze te stare pieśni mówiące światu że

Polska nigdy nie zginie dopóki maki kwitną

czzerwono, a ciało zdolne jest pokonać skałę i stal.

**przełożył Feliks Netz**

## **CZEGO NAUCZYŁA JĄ WOJNA**

Moja matka nauczyła się, że seks jest zły,

Mężczyźni są nic nie warci, jest zawsze zimno

I nigdy nie ma dosyć jedzenia.

Nauczyła się, że jeśli masz dwie lewe

Ręce nie przeżyjesz

Zimy, nawet jeśli przeżyjesz jesień.

Nauczyła się, że tylko młodzi przeżywają

Obozy. Starzy zostają na kupie

Jak makulatura, a niemowlęta

są tak rzadkie jak kurczęta i chleb.

Nauczyła się, że świat jest niepewnym miejscem

Gdzie nie śpiewają ptaki i nawet anioły

Nie mogą unieść smutku, który daje im Bóg.

Nauczyła się, że nie należy się modlić

Aby wrogowie cię nie torturowali.

Modlić się trzeba o to, żeby cię nie zabili.

**przełożył Bohdan Zadura**

DOBRA ŚMIERĆ

Mój ojciec mówi  
że kiedyś się nauczy  
słuchać poloneza  
a nie słyszeć Sikorskiego  
lub Warszawy, głuchej fali  
i kurzu niemieckich czołgów,

tylko Szopena,  
jego zestroju czystych dźwięków  
i precyzyjnego legato.

Jego sny będą  
z oszronionych drzew,  
opakowanych prezentów  
w czerwonym pół-świecie,  
z zapachu ciepłych szop  
i dziewcząt dojących  
czekające krowy.

Śnieg będzie padał  
i zniknął niezauważony.

**przełożył Bohdan Zadura**

## **KATYŃ**

Nie ma tu żadnych Wielkich Murów,  
Żadnych Wież pochyłych lub niepochyłych,  
Ogłaszających sukces jakiegoś króla  
Albo wyszydzających błąd innego,  
Żadnej błyszczącej Duomo gdzie by można  
Modlić się o przebaczenie lub patrzeć  
Na koło cieni grających

W chłodzie dnia,

A wkrótce nawet nazwisk

Tych którzy umarli nikt nie będzie pamiętał

(Nazwisk takich jak Skrzypiński, Chmura,

Lub Antoni Milczarek)

Ich ostre głosy i szalona odwaga

Już przeminęły z wiatrem,

Ale ich prawdziwe pomniki

Zawsze tam będą, w pyle

I szarych popiołach i pagórkach

Wznoszących się nad ciałami, nad którymi

Nigdy nie wypowiedziano nawet słowa

I żadnej łzy nie uroniła płacząca matka

Lub drżąca siostra.

**przełożył Bohdan Zadura**

TO, O CZYM MOJA MATKA NIE CHCE ROZMAWIAĆ

Zaledwie siedemnastoletnia

z wiankiem kwiatów

we włosach

wraca

z pastwiska

pod lasem

gdzie krowy płyną

powoli

w mrocznej

chmurze kurzu

cieplej i nieruchomej

jak sierpień

Znajduje swoją matkę

z przestrelonym gardłem

odrabane piersi siostry

w kurzu

obok stóp

martwe niemowlę

w kocu

To wszystko kończy się tam

nie w obozie

a tam

Spytaj ją

Machnie ręką

Powie jesteś głupcem

powie

jeśli dają ci jeść

jedz

jeśli biją

uciekaj

**przełożył Bohdan Zadura**

## MELON

Kiedy patrzymy na melon błyszczący na stole

w porannym świetle, czemu nasze serca biją radośnie,

wyrywają się do niego tak właśnie, jak to robią? Czemu  
chcemy

naszpicować ten melon, zamknąć go w słowach

lub umieścić w krótkich melodycznych frazach?

Czasami, myślę, że robiąc tak, chcemy

w pewien sposób ten melon osiąść, nie w znaczeniu

kupienia, mam na myśli nie to,

lecz świadomość, że ten melon nie jest

częścią mnie, nie mnie, nie może być, w rzeczy samej, nigdy

bliżej mnie niż jest teraz,

w tej chwili, kiedy widzę go przed sobą

na stole jak mały świat, o którym śniłem

jako dziecko w piaskownicy snów,

i patrząc nań jak na ten świat, jestem przezeń wciągnięty

posiadany przez niego tak pewnie jak wiosna

bierze wzgórze, rozpuszczając je aż zima

przestaje znaczyć cokolwiek w jego życiu, aż skóra

jego utraconych liści jest niczym. Wówczas staję się

melonem, istnieję tylko po to aby podziwiać

jego piękno, jego lepką białą skórę i chłodną słodycz

jego Betlejem i Golgotę, istnieję tylko po to by podziwiać  
jego

odrębność i widzieć samego siebie jako jego część,

nigdy bliżej niego niż teraz, nigdy bardziej wolny

niż teraz z mego własnego miejsca czaszek.

**przełożył Bohdan Zadura**